KS. FELIX ŁADOŃ

Z KRWAWYCH DNI

Powieść dla młodzieży na tle zburzenia Kalisza.

CHICAGO, ILL.

Nakładem tygodnika ,,Przyjaciel Dzieci''.

1916

Ks. Feliks M. Ładoń

Z krwawych dni

Powieść na tle najazdu Prusaków na ziemię polską

CHICAGO, ILL.

Nakładem tygodnika ,,Przyjaciel Dzieci''

1916

CZĘŚĆ I.

Przerwana zabawa.

Było to w pierwszą niedzielę lipca, 1914 roku. Gromadka dzieci różnego wieku, po powrocie ze Mszy św., zebrała się na obszernem podwórzu jednego z domów na przedmieściu Kalisza. Dzień był prześliczny, a że to był czas wakacyi i w dodatku niedziela, więc też zebrana dziatwa nie myślała o niczem innem, tylko o zabawie. Z początku dzieci, podzielone na gromadki po kilkoro w każdej, siedziały w cieniu rozłożystych lip lub smukłych topoli na zielonym kobiercu ziemi i rozmawiały ze sobą, atoli spokojne siedzenie wnet się znudziło wszystkim, zwłaszcza chłopcom, nic też dziwnego, że naprzód od nich wyszło hasło do zabawy.

— Siedzimy tu, jak dziadki na odpuście. Wstyd, chłopcy! Taki piękny dzień, dalej na błonia na palanta!*) — zawołał czternastoletni Staś, u którego właśnie dzieci się zebrały.

(*) Palant jest to gra w piłkę, palantem nazywa się pałka do podbijania piłki.

— Jazda na palanta! — zawołali inni, żywo powstając z ziemi.

— Hola, moi panowie! A my co? — zawołała Bronia, siostra Stasia, spostrzegłszy, że chłopcy zamierzają odejść.

— Wy co? A cóż nas to obchodzi? Wy jesteście dziewczętami, a my jesteśmy chłopcami! Rozumiecie?! Posiadajcie sobie pod drzewami w cieniu, by wam noski nie ogorzały na słońcu, i możecie sobie opowiadać bajeczki o kotkach i myszkach — ze śmiechem powiedział Karolek.

— O nasze noski niech was głowy nie bolą, ale was z podwórza nie puścimy — odpowiedziała Bronka.

— Fiu! — gwizdnął Stach. — A to czemu, panno siostro?

— Temu, że możemy się tu razem bawić.

— Ani nam się nie śni! My idziemy grać w piłkę — krzyknęli.

— Pójdziecie potem, a teraz zostaniecie! — rezolutnie powiedziała Bronia i stanęła przy furtce, zagradzając drogę.

— My i przez płot przeskoczymy, nie potrzebujemy furtki — powiedział któryś z chłopców.

Dziewczynka spostrzegła, że istotnie chłopcy mogą się obejść bez furtki, a nie chcąc ich wypuścić, zwróciła się do brata, mówiąc:

— Stasiu, poprośże kolegów, niech zostaną z nami.

— Cóż, chłopcy? — rzekł Staś, patrząc z komicznie desperacką miną na towarzyszów — myślę, że nam nie wypada odmawiać tak grzecznej prośbie, złwaszcza, że gosposia swoją osobą drogę nam zamknęła. Chyba zostaniemy już, co?

— E, co mi tam za zabawa z dziewczętami! Piszczą, wrzeszczą i o byle co zaraz się dąsają. Taka zabawa, to żadna zabawa! — mruknął jeden z chłopców, podrzucając piłkę. — Chodźmy na błonie, a one niech się same bawią.

— O, jakiś ty niegrzeczny! — zawołały dziewczęta.

— Bo wy nie umiecie się bawić — odciął się chłopiec.

— Lepiej, niż wy!

— Moi państwo! — wmieszała się Bronia — przestańcie się kłócić i czynem po-

każcie, kto lepiej potrafi się bawić, chłopcy, czy my.

— *Z*goda! — wrzasnęli chłopcy. — Zaraz się przekonacie, że my lepiej się bawimy. W co się chciecie bawić?

— W to, co najwięcej lubimy — odpowiedziała Bronka i odrazu, jak ptaszek, dźwięcznym zaśpiewała głosikiem:

Miła dla Polaka
Nuta krakowiaka,
Gdy ją usłyszymy,
Dobrze się bawimy....

Dzieciom oczy się zaświeciły z radości, twarzyczki uśmiechnęły, i nim przebrzmiały ostatnie słowa melodyi, wszystkie chórem odpowiedziały:

A więc dalej w koło
Bawmy się wesoło,
Niech nas łączy zgoda
Śpiew ochoty doda!

Tu dzieci podały sobie ręce i, utworzywszy wielkie koło, poczęły tańczyć krakowiaka, przyśpiewując dźwięcznymi głosikami:

Oj, niemasz to, niemasz,
Jak polskie dziateczki,
Wszystkie są wesołe
I lubią piosneczki....

Zabawa rozpoczęła się na dobre. Chłopcy zapomnieli zupełnie o piłce i wesoło bawili się razem z dziewczętami. Po skończeniu krakowiaka, rozpoczęto starą, jak świat, grę w „myszkę i kota'', potem „Wiję gniazdko'' i t. d.

Zabawa następowała po zabawie, gra po grze. Dzieci zarumieniły się, niektóre nawet już się zmęczyły, ale żadnemu z nich nie przyszło na myśl, by poprzestać zabawy i odpocząć. Wesołe śpiewy i gwar rozbrzmiewały daleko na około i ściągały co raz więcej dzieci na podwórze, a nawet i starszych, którzy przy dniu świątecznym, nie mając nic do roboty, powychodzili z mieszkań i z przyjemnością przypatrywali się rozbawionym dzieciom.

Słoneczko coraz wyżej wzbijało się na niebie, dziatwa coraz weselej się bawiła, a ptaszęta, które z początku, jakby wystraszone śpiewem dzieci, umilkły, kryjąc się wśród liści drzew, teraz zaczęły ćwierkać wesoło, jakby i one razem z dziatwą bawiły się i radowały.

Miło i błogo było wszystkim.

Nagle z bramy sąsiedniego domu, jak z procy, wyleciał chłopiec, czerwony, zziaja-

ny, z czapką w ręku i dobiegłszy płotu, rozgradzającego podwórza, krzyknął:

— Wojna! Wojna!

Na te słowa rozbawione dzieci stanęły w miejscu, jak wyryte, śpiew zamarł im na ustach, i z wytrzeszczonemi oczyma wpatrzały się w stojącego za płotem zwiastuna złowrogiej nowiny.

— Co ty wołasz? — zapytał wreszcie jeden z chłopców.

— Wojna! — odpowiedział przybyły.

W tej chwili utworzone przez dziatwę koło prysło, jak bańka mydlana, i dzieci churmem podbiegły do płotu.

— Skąd wiesz, że wojna? — pytały.

— Byłem właśnie przy mieszkaniu gubernatora i widziałem, jak uciekał na kolej z innymi urzędnikami. Wozy, naładowane rzeczami, też jechały na stacyę. Między Moskalami wielki popłoch, wszyscy uciekają z miasta. Pytałem się znajomego strażnika, co to znaczy, i on mi powiedział, że będzie wojna z Prusakami, a Moskale boją się i uciekają.

Chłopiec nie skończył jeszcze mówić, gdy z taką samą wiadomością nadbiegli inni, wołając:

— Wojna, wojna z Niemcami! Moskale uciekają z Kalisza! Wojsko opuściło koszary. Będziemy bić Prusaków, a potem Moskali i odbijemy Polskę! Hurra!!!

— Hurra! — odpowiedzieli chłopcy z za płotu. — Na Niemca! Zapłacimy Prusakom za wrzesińskie i poznańskie dzieci!

— Moskalowi też!

— Wszystkim naszym wrogom!

— Wiwat! niech żyje Polska!

— Wiwat! Niech żyje Polska! — zawtórowały chłopcom głosy dziewczątek. — Niech żyje wolna i niepodległa Polska! Wiwat! Wiwat!

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy...

Rozpoczęły dziewczątka, do których głosów natychmiast przyłączyły się głosy chłopców, i pieśń narodowa, śpiewana dotąd tylko w najgłębszym ukryciu, gdzieby jej ucho wroga nie dosłyszało, jak więziony ptaszek, wyrwała się z piersi polskiej dziatwy i wzbiła się pod niebo, a echo jej popłynęło daleko, daleko, po nad całą ziemię polską, potem wzbiło się ponad góry,

przepłynęło oceany i rozbrzmiało po wszystkich zakątkach świata, budząc nadzieję zmartwychwstania niezawisłej Polski wszędzie, gdzie tylko znalazło choćby jedno żywe serce polskiego tułacza.

Dzieci zapomniały o świecie całym, zapomniały o surowych zakazach, by wzbronionej przez dwóch wrogów pieśni nie ważyły się śpiewać, wiadomość o wojnie i wolnej Polsce zelektryzowała te małe główki, zapaliła serduszka taką miłością dla Polski, takiem gorącem pragnieniem wyzwolenia jej z wiekowych pętów, że na nic już nie zważały i nie zastraszyłby ich teraz nawet widok żandarma, ani strażnika. Śpiewały całą piersią, całą duszą. Nagle z sieni wybiegła matka Broni, która usłyszawszy znajomą, a zakazaną pod surowymi karami melodyę, zawołała przerażona:

— Na miłość Boską, dzieci, co wy robicie! Czy nie wiecie, że tego nie wolno śpiewać? A nuż was żandarm usłyszał!

— Mamusiu! teraz nam już wolno, bo wojna! — odpowiedział Staś. — Niech się mama nie obawia! Moskale uciekają z Kalisza.

— Co ty mówisz?

— Prawdę, mamo! Ignaś i inni widzieli, jak gubernator uciekał z urzędnikami. Wojsko ruskie też ustępuje. Moskale będą bić Niemców, a potem my pobijemy jednych i drugich i odbijemy Polskę! Wiwat niepodległa Polska!

— Dzieci, dzieci, przestańcie, bo sprowadzicie żandarmów i będzie nieszczęście — upominała matka.

Lecz wszelkie obawy okazały się płonnemi: Moskale w tej chwili nie myśleli już zabraniać dzieciom śpiewania pieśni narodowych, za co poprzednio surowo karali, głowy ich dziś zaprzątnięte były wypowiedzianą Niemcom wojną, wiadomość bowiem, przyniesiona przez chłopców z miasta, okazała się prawdziwą. Rosya wydała wojnę niby w obronie słabszych braci słowian — Serbów, których zniszczyć postanowiła Austrya, a której znów do pomocy poszły Niemcy.

Takie wiadomości lotem błyskawicy rozniosły się po ziemiach polskich, a wnet za nimi przybiegła druga, że główny wódz rosyjski, dla pozyskania sobie Polaków, przyobiecuje im złączenie wszystkich ziem polski i zupełną swobodę.

Dzieci więc, śpiewając wzbronioną pieśń, nie miały się czego obawiać, jednak, ze względu na rozkaz matki, zaprzestały śpiewu i kiedy dziewczątka rozbiegły się do swych domów, chłopcy gromadnie udali się w głąb ogrodu na narady, co mają robić. Wojna to wielka rzecz, nawet dla czternastoletnich chłopców.

Narady chłopców.

Tymczasem urzędnicy rosyjscy pośpiesznie uciekali, albo w głąb kraju, albo też do samej Rosyi, na miejscu pozostali tylko ci, którzy nie byli w stanie wyjechać z różnych powodów, mieszkańcy zaś, choć podnieceni wieścią o wojnie, ze spokojem wyczekiwali, co jutro przyniesie, tylko chłopcy, starsi i mniejsi, zawzięcie rozprawiali, siedząc w cieniu drzew, po odejściu dziewczątek. Rozgorączkowani, odgrażali się Niemcom, a później i Moskalom, gdyby słowa nie dotrzymali i nie wrócili Polsce wolności.

— Wtenczas wygarbujemy im skórę, jak borsukowi! — wołał jeden z chłopców, Antoś, syn urzędnika kolejowego.

— Najprzód pobić musimy Prusaka i odebrać mu Poznańskie, Śląsk i Prusy — mówił Staś.

— A Austryakowi Galicyę — dodał Antoś.

— Ja już mam gotową szablę — powiedział inny.

— Ja skręcę dziadkowi dubeltówkę.

— A ja mam doskonałą pojedynkę.

— Utworzymy oddział powstańców, tak, jak to było za czasów ostatniego powstania przeciw Moskalom. Pamiętacie, cośmy skrycie w polu czytali?

— Rozumie się, że pamiętamy. Wtenczas też chłopcy utworzyli oddział i dzielnie się spisali.

— Więc do roboty! — zawołał Staś.

— Do roboty. Twórzmy oddział! — zawołali wszyscy.

— Kto będzie dowódzcą? — zapytał jeden.

Nastała chwila milczenia, chłopcy zastanawiali się, komuby nad sobą powierzyć komendę.

— tSaś niech będzie dowódcą, on najsilniejszy z nas, jego nawet piątoklasiści

się boją, a przytem wszyscy go lubią, — rzekł któryś.

— Stach! Stach będzie dowódcą! — zawołali jednogłośnie wszyscy.

— Wiwat Stach!

— Dobrze, — odpowiedział Staś — będę dowódcą, ale pamiętajcie, że to wojna naprawdę, więc słuchać musicie!

— To się rozumie! Kogo sami dobrowolnie obieramy na naszego dowódcę, komu dajemy nad sobą władzę, w tym bez nakazu z góry uznajemy wyższość nad sobą, tego słuchać będziemy! Niech żyje Stach! — wrzasnęli rozochoceni chłopcy.

— A co mamy robić? Czy pójdziemy w lasy i będziemy strzelać do Prusaków, jak nam się nawiną? — zapytał Antoś.

— Nie — odpowiedział stanowczym głosem wybrany dowódca. — Strzelać do Prusaków nie możemy, bo nam zabraniają prawa międzynarodowe.

— Skąd wiesz? Przecie powstańcy strzelali do Moskali, dlaczego my byśmy nie mieli strzelać do Niemców? — zapytał ze ździwieniem jeden z chłopców.

— Tak mi dziaduś opowiadał.

— Więc jak, nie będziemy strzelali do Prusaków? — z żalem zapytał inny chłopiec, a potem z niezadowoleniem dodał: — W takim razie nie mamy po co zakładać naszego oddziału.

— Owszem, możemy się przydać do czego innego. Strzelać i walczyć z Prusakami nam nie wolno i nie możemy tego robić, bo nie jesteśmy wojskiem....

— Ale jesteśmy powstańcami — przerwał Antoś.

— I to nie!

— No to czem jesteśmy?

— Polakami!

— To ja wiem, i nie potrzebujesz mi o tem mówić. Ale poco mamy tworzyć oddział, jeśli się bić nie będziemy?

— Powiedziałem już, że możemy się przydać do czego innego.

— Komu? Niemcom? Moskalom, którzy już uciekli z Kalisza?

— Ani jednym, ani drugim — odpowiedział Staś.

— To komu?

— Polsce!

Po tem słowie zapanowało zdziwienie i milczenie.

— Polsce? — powtórzyli po chwili chłopcy.

— Tak! Nie zapominajcie, że jesteśmy Polakami! Nie wolno nam się wysługiwać żadnemu z naszych wrogów: ani Niemcowi, ani Austryakowi, ani też Moskalowi. Nasza służba ma być i musi być tylko Polsce, a nikomu więcej.

— To my wiemy, ale jakże służyć Polsce będziemy, kiedy jej jeszcze nie mamy?

— E, Wicusiu, jak możesz coś podobnego mówić! Polska była, jest i będzie, choć ją wrogowie na trzy części podarli.

— Moskale obiecali ją złączyć — zauważył jakiś chłopiec.

— Słuchajcie! — rzekł Stach poważnym głosem. — Możemy być pewni, że taką samą obietnicę zrobi nam Austrya, a nawet i Prusacy. Na ziemi polskiej toczyć się będzie ten straszny bój między odwiecznymi wrogami i zapaśnikami. Jednym i drugim chodzić będzie o życzliwość Polaków, bo nieżyczliwi mieszkańcy w czasie wojny mogą wiele kłopotów narobić nieprzyjacielskiej armii. Tak mawiał często dziadek, a on się na tem zna. Więc też powiedział, że wszyscy nasi wrogowie będą umizgiwali

się do Polaków, będą im obiecywali wolność, ale my musimy być ostrożni, byśmy się nie dali wziąść na lep ładnych obietnic. Zapasy Moskali z Niemcami dla nas o tyle tylko mieć będą wartość, o ile potrafimy je wyzyskać dla siebie, dla Polski i jej wolności, wszystko inne może nam być obojętne. Mienie i życie nasze tylko dla jednej, jedynej Polski, a dla nikogo więcej!

— Wiwat! Niech żyje wolna i niepodległa Polska! — wrzasnęli chłopcy.

— Niech żyje.

— O, to jakiś, widzę, sejmik odbywacie tutaj — ozwał się nagle głos dziadka, który niespostrzeżenie zjawił się wśród chłopców.

— Założyliśmy oddział powstańców — odpowiedział któryś z chłopców. — Staś dowódcą!

— A co chcecie robić?

— Chcieliśmy, za przykładem dawnych powstańców, pójść w lasy i bić Niemców.

— A i Moskali też, gdyby nam nie dotrzymali danej obietnicy....

— Chwalebne zamiary, ale nie praktyczne — odpowiedział dziadek.

— To my wiemy, bo to samo powiedział Stach.

— To dobrze, że wam powiedział, bo cywilnym w czasie wojny nie wolno strzelać do nieprzyjaciela. Jeśli ludność cywilna przekracza to prawo, naraża się na straszną zemstę wroga. Myślę też, że żaden z was, w wypadku nadejścia wojska niemieckiego, takiej niedorzeczności nie popełni, bo naraziłby całe miasto na zniszczenie.

— Nie, panie, tego nie uczynimy! — zawołali wszyscy chłopcy. — Nie chcemy, by nam Niemcy miasto zniszczyli.

— Przestrzeżcie innych chłopców, by który ze źle zrozumiałej gorliwości i miłości ojczyzny nie popełnił głupstwa, za któreby wszyscy musieli cierpieć.

— Dobrze, tylko radzibyśmy w czemś przecie dopomódz do odzyskania wolności Polsce.

— Znajdziecie do tego dużo sposobności. Wojna, chłopcy, to straszna rzecz, i Bóg wie, co nas jeszcze czeka. Niesie ona z sobą głód, zniszczenie, biedę, nędzę, choroby i śmierć. Do pożytecznej pracy nie zabraknie wam sposobności, zobaczycie!

Niech tylko wojska nieprzyjacielskie wejdą w kraj — na samą o tem myśl, trwoga mnie obejmuje.

— Czy dziaduś myśli, że Niemcy prędko przyjdą do naszego miasta i że ich rosyjskie wojska puszczą?

— Rosyjskie wojska, jak wiecie, już opuściły nasze miasto, cofnęły się, a Niemcy pewno wnet się tu zjawią. Jesteśmy na granicy prawie, więc niema wątpliwości, że lada chwilę ujrzymy Prusaków.

Niemcy idą!

Jakoż dziadek nie mylił się, gdyż zaraz drugiego dnia, po wypowiedzeniu wojny, błyskawicą rozniosła się wieść po mieście, że Niemcy przekroczyli granicę Królestwa Polskiego i zdążają prosto na Kalisz. Wiadomość ta zelektryzowała mieszkańców, wyczekiwano nadejścia nieprzyjaciela.

— Władek, — rzekł Staś do młodszego brata — biegnijmy za miasto ku granicy pruskiej, będziemy wyglądali nadejścia Niemców.

— Chodźmy! — odpowiedział Władek.

— Dokąd się wybieracie? — zapytała matka, widząc, że chłopcy zamierzają wyjść.

— Pójdziemy, mamo, za miasto, chcemy widzieć, jak Niemcy nadejdą — odpowiedział Staś.

— Jak ich zobaczymy, to zaraz damy znać — dodał młodszy chłopiec.

— Uważajcie, by was jakie nieszczęście nie spotkało — przestrzegała matka.

— Niech się mama nie obawia! Nic nam nie będzie.

Z temi słowami chłopcy wybiegli z domu, i razem z innymi, którzy również ciekawi byli widzieć nadciągających Niemców, pobiegli za miasto i o jakie dwie mile od niego zatrzymali się na małem wzgórzu, skąd dość daleko mogli widzieć. Chłopcy rozdzielili się na dwa oddziały: jeden czatował na szosie, drugi na pobliskim torze kolejowym, prowadzącym z Kalisza ku granicy. Rozmawiając ze sobą i czyniąc różne przypuszczenia co do mających nadejść wojsk niemieckich, pilnie wyglądali, skoro im się ukażą nieprzyjacielskie pułki. Minęło jednak sporo czasu, a nic na drodze się nie zjawiło, coby znamionowało zbliżanie się Niemców.

Nagle jeden z czuwających chłopców zerwał się na nogi.

— Patrzcie, tam, w życie, widać dwóch konnych! — zawołał, wskazując ręką ku północy.

Wszyscy naraz skoczyli na nogi i poczęli wpatrywać się w stronę, w którą wskazywał mówiący.

— Rzeczywiście, dwaj jeźdźcy — potwierdzili inni.

— Czyby Niemcy?

— E, chyba nie! To zdaje się będą kozacy — mówił inny.

Istotnie, byli to kozacy, wysłani na zwiady. Dojechawszy do szosy, skręcili na nią i stępą, oglądając się na wszystkie strony, pojechali ku granicy. Nie minęło wszakże ani pół godziny, gdy ci sami kozacy pędem, co konie wyskoczyć mogły, gnali na złamanie karku w stronę miasta.

— Patrzcie, patrzcie! uciekają! — wołali chłopcy.

Kilku z nich zbiegło ku drodze, chcąc się zapytać uciekających kozaków, czy już Niemcy są blisko, ale kozacy tylko mignęli im w oczach.

— Skoczny naprzód, to się sami dowiemy! — zawołał rozgorączkowany Kazio.

Zaledwie skończył, gdy czuwający na torze kolejowym poczęli wywijać czapkami. Był to umówiony znak, którym jeden oddział miał zawiadomić drugi, jeśli spostrzeże nadchodzących Niemców. Nie ulegało już żadnej wątpliwości, że Prusacy nadchodzą. Chłopcy poczęli biedz drogą ku torowi kolejowemu, chcąc na własne oczy ujrzyć Niemców.

Wtem na zakręcie drogi natknęli się na pędzącego, co sił w nogach, wiejskiego chłopca. Płowa jego czupryna, którą rozwiewał wiatr, trzęsła się na głowie, a bose nóżyny, poczerniałe od słońca i posiekane od wody, ledwie dotykały ziemi. Ujrzawszy miejskich chłopców, krzyknął:

— Miemce idą! Miemce!

I stanął.

— Gdzie? jak daleko są, dużo ich?....
— pytali chłopcy jeden przez drugiego.

— Niedaleko i nie dużo — odpowiedział zdyszany chłopiec.

— Widziałeś?

— Juści, na własne oczy. Pasłem krowę przy drodze, wtem spojrzałem, a tam coś błysło raz i drugi na drodze. Przymrużyłem oczy, wpatrzyłem się, a tu dwóch żoł-

nierzy jedzie na bicyklach, a lufy od karabinów tylko im migocą w słońcu.

— Prędko jechali? — zagadnął jeden z chłopców.

— Nie, jadą wolno, bo za nimi widać kiłku konnych. Jak ich zobaczyłem, tak zaraz byłem pewny, że to Miemce, bo we wsi powiadali, że już wojna z Miemcami i lada moment się tu pokażą.

— Jak myślisz, czy daleko oni będą? — spytali chłopcy.

— Może jednę, albo dwie mile, a może i nie tyle — odpowiedział chłopiec.

Wtem nadbiegli chłopcy z toru.

— Niemcy idą, Niemcy idą! — wołali.

— Gdzie, którędy?

— Torem kolejowym.

— Daleko są?

— Na drugiej mili. Zatrzymali się przed dróżnikiem. Postępują bardzo wolno.

— A dużo ich?

— Kilku tylko widzieliśmy. Pewnie badają, czy tor nie zniszczony, lub nie podminowany. Inni muszą iść drogą.

— Juści, że idą, bo przecie końmi i bicyklami torem nie mogą jechać — wmieszał się chłopiec wiejski.

— A skąd ty wiesz?

— Bo widział — odpowiedział Staś. — Co zrobimy? — zapytał.

— Musimy dać znać do miasta, że już idą — odpowiedział jeden z chłopców.

— Kto pobiegnie?

Nikt się nie zgłosił, bo każdy pragnął z bliska obaczyć Niemców.

— Władek i Franio pobiegną i zawiadomią w mieście, że Niemcy nadchodzą.

— Ja wolałbym tu zostać — mruknął Władek, niezadowolony z rozkazu.

— Ja też — dodał Franio.

— Niech kto inny biegnie!

— Wczoraj wybraliście mnie na swego dowódcę, słuchał teraz musicie! Władek i Franio zaraz pobiegniecie na rogatkę i powiecie strażnikowi, że Niemcy idą! — powiedział Staś. — Potem możecie wrócić do nas, a teraz nogi za pas i kopnijcie się co żywo! — dodał rozkazującym głosem.

Obaj chłopcy bezwłocznie spełnili rozkaz i wnet zniknęli z oczu kolegów. Dobiegłszy do rogatki, co sił w piersi starczyło, krzyknęli:

— Niemcy idą! Niemcy idą! Drogą i torem!

I zawrócili nazad do kolegów.

Wiadomość jednak była już spóźniona, gdyż kozacy pierwsi dali znać o zbliżaniu się nieprzyjaciela, i gromadka ciekawych już się zebrała na rogatce.

Władek i towarzysz jego wnet dobiegli do kolegów, którzy rozprawiając głośno, z niecierpliwością wyglądali zjawienia się niemieckich cyklistów.

— Jadą! — zawołał nagle jeden z chłopców.

Na to słowo wszyscy inni ciekawie spojrzeli na szosę.

— E, głupstwo! — ozwał się Staś. — Cielęcia od pruskiego cyklisty nie potrafisz rozróżnić. Toć przecie cielę idzie drogą!

Chłopcy wybuchli śmiechem.

— Juści cielę lezie, i zdaje mi się, że moje! — zawołał wiejski chłopiec i pobiegł w stronę cielęcia.

— Uciekaj z niem, bo ci je Niemcy zabiorą i zjedzą, za co ci ojciec kurtę skroi — zażartowali z pastuszka chłopcy.

— Nie bójcie się, Niemcy jeszcze mają co jeść i nie potrzebują waszych cieląt —

ozwał się nagle z tyłu chłopców jakiś obcy głos.

Chłopcy obejrzeli się i.... skamienieli ze ździwienia. Tuż za nimi, o kilka kroków w życie, stało dwóch ludzi. Siwe mundury, pikielhauby, tornistry na plecach i karabiny, trzymane w pogotowiu, mówiły wyraźnie, kim są. Chłopcy przez długą chwilę nie mogli wyjść z podziwienia, nie mogli pojąć jakim sposobem Niemcy znaleźli się z ich tyłu, kiedy oni wyglądali ich na drodze, patrzeli więc na przybyłych, nie mówiąc ani słowa. Dziwiło ich też i to, że niemiecki żołnierz przemówił do nich czystą polszczyzną.

— Cóżeście tak zbaranieli, jakbyście samego djabła ujrzeli? Czy tak się nas tu boicie? — zapytał ten sam żołnierz.

— Niemcy — mruknął jeden z chłopców.

— Wcale nie Niemcy, jesteśmy tak samo Polakami, jak wy! Służymy w niemieckiem wojsku, bo musimy, jak wasi w rosyjskiem, ale Niemcami nie jesteśmy, i bać nas się nie potrzebujecie, bo wam krzywdy nie zrobimy i chłopskich cieląt nie będziemy zabierali.

— Doprawdy nie jesteście Niemcami? — zapytał Staś z niedowierzeniem.

— Powiedziałem, że nie, mój kawalerze. Jesteśmy Poznańczykami, a bić się musimy za Prusaka, a wasi za Moskala, choć nam ogłosili, że idziemy wyzwolić was z niewoli moskiewskiej, ale to będzie takie wyzwolenie, jak z deszczu pod rynnę.... O to jednak na razie mniejsza, idziemy do Kalisza, powiedzcie nam, czy są tam wojska rosyjskie?

Chłopcy spojrzeli porozumiewająco po sobie. Z rozmowy starszych wiedzieli bardzo dobrze, że największym i najzacieklejszym wrogiem Polaków są Prusacy, wiedzieli, że całe Królestwo Polskie razem z zaborem pruskim nienawidzi Prusaków, więc wiedzieli, że odpowiadając na zadane pytanie, zdradziliby chwilowych sprzymierzeńców sprawy narodowej, dlatego nie odpowiedzieli nic.

— Czy nie zrozumieliście pytania? — rzekł drugi żołnierz. — Czy Moskale są w Kaliszu, czy go już opuścili?

— O tem najlepiej możecie się sami przekonać — odpowiedział Staś.

— Widzę, że nie chcecie odpowiadać, trzymacie z Moskalami! — rzekł pierwszy żołnierz.

— Trzymamy z Polską! Moskale uroczyście obiecali połączyć wszystkie zabory i dać nam wolność, zdradzać ich nie chcemy i nie będziemy! Prusacy i Austryacy nic nam nie obiecali.

— Obiecali Polskę z zaboru rosyjskiego — rzekł żołnierz.

— A cóż z tem, co oni ukradli, co ukradła pobożna Austrya? Czy to nam oddadzą.

— Pytaj tam Prusaka! Co Prusak raz pochwycił, tego dobrowolnie nie odda. Trzeba mu wydrzeć, jak psu z gardła.

— To też obiecali zrobić Rosyanie. Zrobią, to dobrze, nie zrobią, to zrobimy my sami, jak urośniemy. Ale teraz nie zdradzimy, czy Moskale są w mieście, czy ich niema. Przekonajcie się o tem sami!

— Dzielne z was zuchy, chłopcy! A o Moskalach, to już my się dowiemy bez waszej pomocy. Chodźmy dalej, Macieju! — rzekł pierwszy żołnierz, ruszając ku miastu przydrożnym rowem, by się więcej ukryć.

— Słyszeliście? To Polacy! — szepnął Staś, po odejściu żołnierzy.

— A może i nie, może to Niemcy, a tylko tak udają — odpowiedział drugi chłopiec z powątpiewaniem.

— Być może, ale ja myślę, że to Polacy.

— Patrzcie, jak oni się skradają — zawołał inny z chłopców. — Ale nas zaszli niespodzianie! Jak tak i Moskali będą zachodzili, to może być kiepsko z nimi.

— Kozaków z daleka widzieliśmy i poznaliśmy, a ci nam pod nos musieli wleźć, żebyśmy ich mogli widzieć. — O, a teraz prawie ich już rozeznać nie można.

— To siwe mundury robią ich tak niewidzialnymi.

— Ot! Cykliści! — szepnął jeden z chłopców, który patrzał na drogę.

Chłopcy ucichli i spojrzeli we wskazanym kierunku. O kilakdziesiąt kroków ujrzeli przed sobą po obu stronach drogi wolno jadących dwu cyklistów, w niewielkiej odległości za tymi postępowała konnica w tumanach kurzu.

Chłopcy skupili się przy drodze i czekali. Po kilku chwilach dwaj cykliści nadjechali.

— Być wojska w miasto? — łamaną pol-

szczyzną zagadnął jeden z cyklistów, nie zatrzymując się.

— Jeszcze niema Niemców — odpowiedzieli chórem chłopcy.

Cyklista popatrzał na nich złośliwie i mruknął:

— Głupia polske świńki!

— Ty pludraku jakiś! Ja ci tu dam polskie świnki! — krzyknął jeden z chłopców, ściskając pięście.

— Cicho, Franek! — upomniał chłopca Staś — możesz biedy niepotrzebnie nawarzyć.

— To czemu to Niemczysko nam ubliża?

— Bo inaczej nie byłby Prusakiem.

Wtem uwagę chłopców zwrócili na siebie przejeżdżający ułani. Jechali oni stępą z karabinkami gotowymi do strzału. Konie mieli tęgie, a sami wyglądali na chłopców rosłych i mocnych. Ujrzawszy gapiących się na nich chłopców, uśmiechnęli się do nich przyjaźnie i kilku z żołnierzy pozdrowiło ich skinieniem ręki i wołaniem:

— Jak się macie, zuchy! Widać, żeście się nas spodziewali, kiedyście aż tutaj wybiegli na spotkanie. Czy i Moskale też nas tak wyczekują?

— Muszą być Polacy między nimi — rzekł Staś.

— Pewnie, bo grzeczni, nie są takimi gburami, jak owi cykliści.

— Ale konie mają tęgie!

— O, armatki wiozą!

Rzeczywiście za oddziałem konnicy, nie przenoszącym dwustu chłopa, tyrkotały na drodze dwa szybkostrzelne działka. Był to mały oddział wywiadowczy, więc chłopcy powoli zawrócili ku miastu, ciekawi, co się tam teraz robi.

Pruskie obietnice.

Tymczasem w mieście na razie nic tak nadzwyczajnego się nie działo. Choć, jak zwykle w takich chwilach, ludność była pod niecona, jednak spokój i dziwna powaga panowały wszędzie. Niemców przyjęto chłodno, dopiero, gdy się od żołnierzy dowiedziano, że prawie wszyscy są Polakami z Poznańskiego, okazano im więcej życzliwości i serdeczności, nie jako pruskim żołnierzom, ale jako braciom swoim, siłą zmuszonym do pełnienia narzuconego im obowiązku. Tu i owdzie przybyli rozmawiali z mieszczanami, którzy się dopytywali o różne rzeczy, a szczególnie, czy wojsko długo

w mieście pozostanie, czy przyjdzie więcej wojska.

— Pewno, bo my tylko na zwiady wysłani jesteśmy, za nami ciągnie większa siła, która zostanie w Kaliszu — mówił jeden z ułanów. — A ci, co tu idą, to sami Niemcy. Gdy oni przyjdą, my zaraz wracamy.

— A że to tak Polaków naprzód, a nie pludrów tu przysłano? — zagadnął jeden z mieszczan. — Myśleliśmy, że na pierwszy ogień pójdą Niemcy, że Polakom nie będą wierzyli.

— Muszą mieć jakieś zamiary, że nas tu wysłali, choć tak samo do Francyi ogromną moc naszych posłano. Pierwsze pułki, przeznaczone do zdobycia belgijskich fortec i do otwarcia Niemcom drogi przez ten kraj do Francyi, to polskie pułki z samych Poznaniaków prawie złożone. Niemcy posłali ich na pierwszy żer belgijskich armat — mówił ułan, oglądając się, czy gdzie jaki Niemiec nie podsłuchuje.

Dłużej jednak nie mogli rozmawiać, bo w tej chwili rozległa się świstawka oficera, ułani skoczyli na konie i w mgnieniu oka, na komendę, podzielili się na kilka

małych oddziałków i kłusem rozjechali się w różnych kierunkach ulicami poza miasto, gdzie pozajmowali wszystkie rogatki. Na rynku pozostał tylko oficer z owemi armatkami i kilkunastu ludźmi.

— Obywatele, — rzekł po polsku do zgromadzonych — z rozkazu Najjaśniejszego pana, cesarza Wilhelma, oznajmiam wam, że przybyliśmy do was, jako oswobodziciele. Cesarz pragnie gnębionym Polakom przez Rosyę ulżyć niedoli, pragnie was oswobodzić i zrobić nizawisłymi, ale musicie mu w tem pomagać, musicie, jak jeden mąż, powstać i zrzucić z siebie jarzmo moskiewskie. W imieniu więc cesarza wzywam was do powstania przeciw Rosyi i do połączenia się z jego wojskiem, które tu wnet nadejdzie. Niech żyje cesarz niemiecki, Wilhelm II! — zakończył i spojrzał po zgromadzonych, czy mu odpowiedzą na ten wykrzyknik.

Naokoło atoli panowało grobowe milczenie. Ani jeden głos się nie podniósł za Wilhelmem, natomiast jakiś mieszczanin, splunąwszy po tej mowie oficera, mruknął:

— Djabeł się w ornat przystroił i ogonem na mszę dzwoni! Tfu! i to Polak do

tego! Tfu! tfu! Skaranie boskie, czy co? Wilhelmowi będę wiwatował?

Oficer widocznie dosłyszał to mruczenia, bo spojrzawszy na mieszczanina, uśmiechnął się pod wąsem i szepnął półgłosem:

— Bo musi dzwonić.

To powiedziawszy, ruszył koniem i skierował się w stronę, z której niedawno przybyli.

Już poprzednio oficer rozkazał burmistrzowi, by w mieście przygotowano żywności i kwatery dla wojska niemieckiego, które niebawem miało tam nadciągnąć. Mieszczanie, choć niechętnie, poczęli spełniać te rozkazy, nie chcąc nawet pozorem jakiegoś oporu dawać powód Niemcom do złości, pod wpływem której mogliby się dopuścić gwałtów na mieszkańcach. Gromadzono więc żywność dla ludzi i dla koni, a po domach przygotowywano kwatery dla żołnierzy i wyczekiwano rychłego ich przybycia, jak to oficer zapowiedział.

Nieproszeni goście.

Minął atoli cały dzień, a Prusacy nie nadeszli. Darmo chłopcy czatowali na granicy miasta, wyglądając nadejścia wojsk,

słońce już zaszło i wieczór się robił, a ich jeszcze nie było widać.

— Może już dziś nie przybędą — ozwał się Staś znudzony długiem czekaniem.

— Pewno że nie, oficer nas zawiódł — odpowiedział jeden z chłopców.

— Chodźmy do domu, wieczór się zbliża, co tu będziemy siedzieć — zaproponował inny.

— Popieram wniosek Pawła — zawołał inny i skoczył na nogi, przeciągając się. — Jeść mi się chce, chodźmy. Przyjdą Niemcy, to będą, a nie przyjdą, tem lepiej nam będzie bez nich.

— Słyszeliście? jeszcze nie przybyli, a już sobie prowianty i kwatery kazali szykować — powiedział Kazio. — Ładnie oni Kalisz oporządzą, zobaczycie! — dodał i powstawszy również z ziemi rzekł: — Chodźmy do domu!

Chłopcy spojrzawszy jeszcze raz ku pruskiej granicy, a nie mogąc w zapadającym mroku nic dojrzeć, skierowali się ku miastu i po niedługim czasie każdy z nich siedział przy kolacyi z rodziną.

Wtem na ulicach rozległo się wołanie:

— Niemcy, Niemcy nadchodzą!

Rozumie się, na ten okrzyk każde z dzieci, a zwłaszcza każdy chłopiec czuł się w obowiązku wybiedz na ulicę i przypatrzeć się wojsku niemieckiemu, więc też wnet gromada dzieci, mniejszych i większych, zapełniła chodniki na ulicy, którą nadciągało wojsko.

Najprzód do miasta wjechały dwa szwadrony kawaleryi i stanęły na rynku, wnet za nimi wkroczył batalion piechoty pruskiej i też podążył na rynek. Mieszkańcy w milczeniu przyglądali się nieproszonym gościom, których musieli przyjmować do swych domów i karmić. Jakoż, zaledwie piechota stanęła na rynku, oficerzy poczęli rozkwaterowywać żołnierzy i rekwirować przygotowane poprzednio prowianty. W domu rodziców Stasia umieszczono trzech piechurów pruskich, którzy natychmiast zażądali kolacyi. Wszyscy trzej byli Szwabami i żaden z nich po polsku nie umiał mówić, z wyjątkim jednego, którego cała znajomość języka polskiego streszczała się w tych kilku słowach: „dawacz duzo jeszcz, pycz, a predko”....

Nakarmieni Prusacy wnet potem udali się na spoczynek, tylko domownicy siedzie-

li do późna w nocy, szepcąc ze sobą, niepewni, co im przyszłość gotuje. W końcu i oni porozchodzili się do sypialń, i w całym domu, jak w całym mieście, zapanowała cisza.

Noc przeszła spokojnie. Mieszkańcy powstawali wcześniej, niż to zwykle czynili, jednak do pracy nikt się nie zabierał, jakaś niepewność ciążyła nad wszystkimi. Tu i owdzie zebrały się gromadki ludzi i poczęły szeptać między sobą, lecz musiały się rozchodzić, gdyż komendant wydał rozkaz, by ludzie nie zbierali się na ulicach i by wieczorem po zachodzie słońca nikt się na nich nie pokazywał pod grozą aresztowania i rozstrzelania. Nakazano też, by każdy z mieszkańców, który posiada jakąkolwiek broń, odniósł ją natychmiast do ratusza, ktoby zaś tego nie uczynił, ten bez pardonu będzie rozstrzelany.

Na taki rozkaz mieszkańcy poczęli znosić do ratusza najrozmaitszego rodzaju i gatunku broń, która w znacznej części przedstawiała tylko okazy pamiątkowe starych rusznic, pistoletów i kilka szabel z dawnych czasów, a więc najzupełniej była nieprzydatną do użycia. Ale mieszkańcy od

nosili wszystko, co mieli, nawet dziadek Stasia przez chłopców odesłał starą, jak świat, skałkówkę, byle tylko nie dać Niemcom najmniejszego pozoru do oskarżenia kogokolwiek, że ukrył broń.

W taki sposób rozpoczęła się gospodarka pruska w najechanem mieście.

Brutalstwo Szwaba.

Z początku Niemcy zachowali się dość przywoicie, liczyli oni na to, że zarówno Kaliszanie, jak całe Królestwo Polskie, z chwilą wkroczenia wojsk niemieckich w jego granice, jak jeden mąż, powstaną przeciw Rosyi, lecz w rachubie swojej przeliczyli się. Zapomnieli, lub nie chcieli o tem wiedzieć, że Królewiacy choć nie cierpią Rosyan, jednak stokroć więcej nienawidzą Prusaków i uważają ich za największych, nietylko swoich, ale wszystkich Słowian wrogów, to też odrazu opowiedzieli się po stronie sprzymierzonych mocarstw, a zatem przeciw Prusakom i o żadnem powstaniu nie myśleli. Takie zachowanie się ludności Królestwa Polskiego wzbudziło nienawiść w Prusakach, więc gwałtami i brutalnością, jak w Belgii, postanowili doprowadzić do tego, by ich się wszyscy bali. Ta-

ki nakaz przyszedł z głównej niemieckiej komendy i rozgłoszono go całemu wojsku, które też wnet w myśl tego rozkazu zaczęło postępować.

Jakoż wieczorem następnego dnia, po rozkwaterowaniu się Prusaków w Kaliszu, gdy matka Stasia zaprosiła Szwabów na kolacyę, jeden z nich umyślnie, aby okazać swą pogardę gospodarstwu, w żołnierskiej swojej mycce usiadł do stołu.

Wszyscy zdumieli się tą niesłychaną gburowatością Prusaka, nawet dwaj jego towarzysze zdali się być zakłopotani tem zachowaniem i mruknęli mu, by zdjął myckę, lecz on zaklął tylko w odpowiedzi. Widząc to, pani Sławińska, gospodyni domu, z godnością powstała od stołu, pan Sławiński trząsł się cały od gniewu i oburzenia, chłopcy zaciskali pięście i z gniewem spoglądali na Prusaka. Bronka szeroko otwartemi oczyma spoglądała na gbura, jeden tylko dziadek z uśmiechem politowania siedział na swojem zwykłem miejscu i patrzał na Niemca.

— Zachowajcie zimną krew — ozwał się po chwili. — Widzicie, że to rozmyślna prowokacya. Nie pozwólmy się wyprowa-

dzić z równowagi, prusak ten nie nam, ale samemu sobie i swemu kajzerowi ubliża. Spokoju i rozwagi!

— Co mówisz, stary grzybku? — zapytał Prusak, usłyszawszy wyraz kajzer.

— Nic, powiadam tylko, że pruscy żołnierze znają się na grzeczności, której pewno sam kajzer ich uczył, bo to zaraz każdy pozna — odpowiedział dziadek po niemiecku.

— Ja, ja, nasz kajzer to wielki człowiek! Hoh der kajzer! —

— Dobrze, dobrze, niech sobie będzie hoh mogę stęknąć i sto razy, jeśli ci się to podoba, ale bierzno się.... do.... żarcia.

— Ja nie świnia, żebym żarł — obruszył się Prusak i złowrogo spojrzał na dziadka.

— A czy ja to powiedziałem — ja tylko zachęcam do sprzątnięcia tego, co jest na talerzu — odpowiedział z ironicznym uśmie chem dziadek. — W jakiem towarzystwie się znajduję, takim językiem muszę przemawiać, bo inaczej nie zrozumielibyście mnie. Czy nie?

— Ja, ja! — odparł Prusak.

— No, to jazda, bierzcie się do roboty, bo, jak widzę, to tylko wy sami dziś sprzątniecie tę kolacyę.

— Ja, ja! — mruknął Niemiec i zabrał się do jedzenia.

Przez cały ciąg rozmowy dziadka z żołnierzem wszyscy domownicy, z wyjątkiem pani domu, siedzieli przy stole, w ponurem milczeniu. Nikt z nich nie otworzył ust, ani nie sięgnął po półmisek z potrawami, oburzenie odebrało im apetyt i zamknęło usta.

— Ach, gdybym tylko mógł, pokazał bym ja ci, niemiaszku, i nauczył się grzeczności! — mruknął Staś.

— Dam mu w łeb, aż mu ta mycka spadnie! — szepnął młodszy brat.

— Ani się ważcie coś podobnego zrobić! Panujcie nad sobą i zachowajcie zimną krew! — odpowiedział dziadek.

— Was? — zapytał Szwab, podejrzliwie spoglądając, najprzód na chłopców, a potem na dziadka.

— Nic, zachęcam ich do jedzenia — odparł ostatni i, jakby dla przekonania Niemca, począł dzieciom nakładać potraw na talerze.

— Dziękujemy, dziadusiu, ale nam się jeść odechciało.

— To nic, zjecie później — odparł niedbale dziadek i położył udo kurczęcia na talerzu Bronki.

Lecz w tej samej chwili Szwab ozwał się:

— Daj to mnie, stary!

I nie czekając, wyciągnął łapę, uchwycił palcami z talerza Bronki położone udo i właśnie niósł je do ust, gdy nagle w pokoju rozlego się silne uderzenie, a udo i mycka prusaka znalazły się na podłodze. To Staś, któremu ostatni postępek Prusaka odebrał resztę cierpliwości, zerwał się błyskawicą i, nim pruski gbur spostrzegł, co chłopiec zamierza zrobić, ten wyciął mu silny policzek.

— Masz! to za zniewagę siostry, ty gburze pruski! — zawołał, zaczerwieniony i drżący z oburzenia, spoglądając iskrzącym wzrokiem na Prusaka i gotując się do obrony.

— Stasiu, Stasiu! na miłość Boską, co robisz?! — zawołała matka i skoczyła ku chłopcu, by go zastawić przed Prusakiem, który zerwał się z krzesła i właśnie zamie-

rzał się z pięściami na Stasia, klnąc straszliwie.

W tej samej jednak chwili zerwali się też od stołu dziadek i ojciec, który, odsunąwszy matkę, stanął przed Prusakiem i rzekł z zimnym spokojem, choć wargi mu drżały od gniewu:

— Nie waż się uderzyć chłopca!

— Niech spróbuje tylko, ja go się nie boję! — zawołał Staś. — Czy on myśli, że mu pozwolę znieważać siostrę!

— Stasiu, dzieci, natychmiast proszę wyjść z pokoju! — rozkazał ojciec.

Bronia i młodszy chłopiec, posłuszni rozkazowi, natychmiast powstali od stołu i skierowali się ku drzwiom, gdy nagle Prusak rzucił się na Stasia i uderzył go w głowę. Chłopiec zatoczył się i upadł na podłogę.

— Zabił mi dziecko! — krzyknęła rozpaczliwym głosem matka i rzuciła się na ciało, bezwładnie rozciągnięte na podłodze, a ujrzawszy płynącą krew z ust i nosa, zawołała: — Wody, wody, prędko, Broniu!

Niemiec nie bacząc na to, co uczynił, z przekleństwem na ustach chciał jeszcze

kopnąć leżącego, lecz jeden z jego towarzyszów, mający widocznie więcej serca i ludzkości, skoczył ku niemu i silnem uderzeniem pięści w pierś odepchnął go dalej na środek pokoju.

— Siedź spokojnie! Jeśli awantury nie zaprzestaniesz, zameldujemy cię — zawołał z groźbą w głosie.

Szwab, nie przestając kląć i wyzywać Polaków, usiadł nazad przy stole. Tymczasem obmyto okrwawioną głowę Stasia i nieprzytomnego wyniesiono do bocznego pokoju, gdzie go złożono na kanapie.

— Stasiu, Stasiuniu, dziecko moje — odezwij się — płakała matka. — Boże, Boże, zabił mi dziecko!

— Stasiu! Stasiu! O Boże, on nic nie słyszy! — z płaczem wołała Bronia, klęcząc przy bracie.

— Nie płaczcie i nie narzekajcie, chłopiec żyje. Puls bije, tylko od silnego uderzenia stracił przytomność uspakajał dziadek. — Nic mu nie będzie, nie bójcie się. O, zaczyna przychodzić do siebie.

Rzeczywiście blade policzki i sine wargi poczęły się rumienić, życie i przytomność wracały chłopcu. Niebawem otworzył oczy

i spojrzał przytomnym wzrokiem przed siebie, a ujrzawszy zapłakaną matkę i siostrę, szepnął:

— To nic, mamo, to nic. Tatuś kazał nam wyjść, i ja nie spostrzegłem, że on mnie chce uderzyć.

— Bardzo cię boli głowa? — spytała matka z troską w głosie.

— E, nie, tak, troszkę — odpowiedział chłopiec.

Ale nie mówił całej prawdy, by nie martwić matki, gdyż istotnie głowa go bardzo bolała. Zaciskając zęby, by nie jęknąć, szepnął z udaną swobodą:

— Trochę poboli, i zaraz wstanę.

— No, no, daj pokój wstawaniu — odrzekł ojciec. — Musisz poleżeć. A możeby lepiej było przywołać lekarza, by cię zbadał?

—Nie trzeba, tatusiu, bo mnie nic nie jest.

— Kto wie, może głowę masz rozbitą? Zalałeś się krwią.

— Ja się często krwią zalewałem. Niedawno jak mnie piłka uderzyła, to też krew mi szła z nosa. To nic!

— Boże, Boże, co to będzie dalej, jeżeli już na początku takie rzeczy się zaczynają dziać? — narzekała matka.

— Ano, w ręku Boga wszystło — odrzekł dziadek z westchnieniem i po chwili milczenia dodał: — Z naszej strony musimy za wszelką cenę zachować zimną krew i panowanie nad sobą wobec pruskich prowakacyi, bo że one będą, to niema wątpliwości. Dowód dzisiejsze zachowanie się tego gbura.

— Że też Stasiu nie mógł się powstrzymać — szepnęła matka.

— To trudno, i nie dziwię się. We mnie aż się gotowało wszystko i tylko chyba jakimś cudem zniosłem tego gbura — ozwał się pan Sławiński. — No a Stasiu....

— Ja, tatusiu, już nie mogłem wytrzymać.... Tu chodziło o Bronię.... ona przecie nie może się bić. Mnieby wstyd było, gdybym się za nią nie ujął....

— Dobrze, dobrze, zuchu! — z uśmiechem przerwał chłopcu dziadek — widzę, że już wiesz, jaki obowiązek ma każdy szanujący się chłopiec względem kobiet, a tem bardziej względem siostry. Leż więc spo-

kojnie, żebyś prędko wyzdrowiał — dodał gładząc twarzyczkę chłopca.

— Mnie nic nie jest, zaraz mogę wstać i, jakby trzeba było i mamę i Bronkę....

Ale nie skończył, bo w tej chwili ujrzał nad sobą główkę siostry, zapłakane jej oczy i na ustach uczuł serdeczny i gorący pocałunek.

— Dziękuję ci, Stasiuniu, — szepnęła.

— Licz na mnie, Bronka, jak.... jak...

— Jak na średniowiecznego rycerza — dokończył ze śmiechem dziadek, który, wobec ogólnego przygnębienia, usiłował zachować dobry humor i tym sposobem dodawać ducha wszystkim.

Ostrzeżenie.

Na drugi dzień Staś czuł się zupełnie dobrze, ojciec jednak, w obawie jakiej nowej awantury z rozkwaterowanymi w domu Prusakami, przykazał dzieciom, by z nimi unikały stykania się. Rozkaz ten wszakże był zbyteczny, bo Niemcy, wcześnie zbudzeni pobudką, musieli pójść na plac zborny i już cały prawie dzień nie pokazali się w mieszkaniu.

Tymczasem w domu postanowiono na wszelki wypadek zabezpieczyć się przed

rabunkiem i pochować kosztowniejsze przedmioty i pamiątki rodzinne.

— Dzieci — rzekła matka, po odejściu żołnierzy, — musimy pochować wszystkie kosztowności i cenniejsze przedmioty. Bóg jeden wie, co nas wszystkich czeka, tym Prusakom wierzyć nie można, to chyba nie ludzie i w piersi, zamiast serca, głazy mają.

Po tych słowach matki, dzieci zaczęły wyciągać z różnych schowanek cenniejsze przedmioty, pamiątki rodzinne i t. p. rzeczy, których zwykle pełno w każdym domu. Wszystko to starannie zapakowano do dużego kufra i z pomocą ojca i dziadka zaniesiono do ogrodu, gdzie chłopcy w mig wykopali głęboki dół i w nim zakopano kufer. Poczem dzieci zrównały ziemię tak, że najbystrzejsze oko nie mogłoby dostrzedz, iż świeżo była poruszona.

— Tu nie znajdą — powiedział Staś, patrząc z zadowoleniem na to, co zrobili.

— Chybaby cały ogród skopali — powiedział dziadek.

W ten sposób z kosztownościami i pamiątkami rodzinnemi postąpiło wiele in-

nych familii, nikt bowiem nie ufał Prusakom.

Miało się już ku wieczorowi, gdy trzej żołnierze zjawili się na swej kwaterze i odrazu zażądali kolacyi. Pani Sławińska w milczeniu spełniła rozkaz. Żołnierze jedli, mało co ze sobą rozmawiając. Po skończonym posiłku, ów Prusak, który poprzedniego wieczoru zrobił taką awanturę, zabrał swój karabin i tornister i, zakopciwszy fajkę, wyszedł z kwatery, na niego bowiem przypadła kolej czuwania na rogatce.

— Jak się ma chłopiec?—zapytał dziadka jeden z pozostałych żołnierzy.

— Dziękuję, zdrów jest.

— Strzeżcie się tego gbura, bo to Prusak — powiedział drugi żołnierz.

— A wy kim jesteście? — spytał dziadek, zdumiony takim dosadnym sądem żołnierzy o swym towarzyszu.

— My nie jesteśmy Prusakami, jesteśmy Niemcami i wstyd nas, że razem z takimi gburami pruskimi musimy służyć. Ale co robić?

— Hm, jak widzę, to nie zbyt czule kochacie waszych pruskich towarzyszy — powiedział dziadek i uśmiechnął się.

— Alboż jest kto na świecie, ktoby kochał Prusaków? Cały świat ich nienawidzi, a Niemcy nie mniej od innych.

— Dziwne to plemię, że tak nigdzie i u nikogo nie potrafili zyskać sobie, ani szacunku, ani miłości—mówił dziadek.—Bo że my, Polacy, ich nie cierpimy, to nic w tem nadzwyczajnego, wszak to wiekowi nasi wrogowie, ale że i wśród własnych pobratymców nie potrafią zdobyć, ani szacunku, ani miłości, to trochę niezrozumiałe.

— Bo są zachłanni, gbury i zarozumiali — odpowiedział żołnierz i splunął. — A co najgorsza, to to, że są wiarołomni, podstępni i nikczemni. Nikomu wiary nie dotrzymają, gdy są zwyciężeni, będą się na kolanach czołgać i ozorami buty lizać będą zwycięzcom, przyrzekając wierność i posłuszeństwo, a patrząc, czy z tyłu ukradkiem nie dałoby się temu zwycięzcy wepchnąć sztyletu między łopatki. Gdy zaś są zwycięzcami, nie znają litości, stają się brutalnymi tyranami. Bądźcie więc ostrożni z tym trzecim naszym towarzyszem. My nie wiele zrobić możemy, bo oficerzy prusacy, a naszych tu mało, waszych zaś wszystkich dziś już odesłali z powrotem, bo

się bali, że nie chcą z wami postępować tak, jak tego wymagać będą Prusacy. Pamiętajcie więc, że ci, co tu są, to wszyscy Prusacy, gotowi z rozkoszą wykonać najokrutniejszy rozkaz.

— Czy myślicie, że bez powodu śmieliby się dopuszczać gwałtów? Nie sądzę, bo przecie miasto spokojne, nikomu z ludzi ani się nie śni zaczepiać wojska, prowizyę daliśmy, czegoż więcej mogą od nas żądać i wymagać? — pytał dziadek, a w głosie jego znać było niepokój.

— To prawda, że prowizyę daliście, i że ludność spokojnie się zachowuje, ale....

— Ale co? — spytał dziadek i bacznie spojrzał na Niemca.

— Ale nas się nie boicie jeszcze!

— Dlaczego was się mamy bać? Przecie nic złego wam nie zrobiliśmy!

— Nie idzie o to, czyście zrobili, czy nie. Chodzi o to, byście się bali Prusaków, by na każdym z mieszkańców Królestwa skóra cierpła na samo wspomnienie wojska pruskiego. Takie przyszły rozkazy. Możecie więc wiedzieć, czego się macie spodziewać i w jaki sposób zachować.

Na tem rozmowa się urwała.

— Wszystko w mocy Bożej — ozwał się po chwili dziadek, westchnąwszy głęboko. — Bóg silniejszy, jak Prusacy — mówił dalej w zamyśleniu, a zwróciwszy się ku żołnierzowi, rzekł: — Będzie, co Bóg da, a wam, żołnierzu, dziękuję za otrzeżenie.

To powiedziawszy, pożegnał obu Niemców, życząc im dobrej nocy i odszedł do dalszego pokoju, gdzie reszta rodziny była zgromadzona. Zamknąwszy drzwi, opowiedział swą rozmowę z Niemcami, poczem długo jeszcze w nocy siedzieli wszyscy, już to rozmawiając, już rozmyślając o tem, co Niemcy mówili, i co ich może spotkać. Wreszcie, odmówiwszy modlitwy i poleciwszy się w tak niepewnem i ciężkiem położeniu Opiece Boskiej, wszyscy domownicy udali się na spoczynek, ale nikt nie mógł oka zmrużyć, niepewność przyszłości odpędzała im sen z oczu.

Pierwsze strzały.

Szaro jeszcze było na dworze, gdy nad ranem rozległ się po mieście huk strzałów, dochodzących tu z za rogatki. Zbudzeni nagle i przestraszeni mieszkańcy poczęli wyglądać oknami lub wybiegać na ulicę,

dopytując, coby to miało znaczyć. Nikt jednak nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

— Pewno Rosyanie napadli na Niemców — powiedział pan Sławiński do przestraszonej rodziny. — Ciekawy jestem, czy nasi kwaternicy jeszcze śpią.

— Nie, tatusiu, właśnie wybiegli z bramy! — odpowiedział Staś, który wyglądał oknem na ulicę — O, jak pędzą! — dodał.

— Gdzie, gdzie? — zapytało młodsze rodzeństwo, cisnąc się do okna.

— Dzieci, odejdźcie zaraz od okna, bo was jeszcze kula trafi — z trwogą w głosie zawołała matka. — Boże, to pewno biją się! Słyszycie, jak strzelają?

Jakoż grzechotanie karabinów stawało się coraz silniejsze.

— Mamo, ja pobiegnę zobaczyć, gdzie się biją — ozwał się Staś i już miał wybiedz z pokoju na ulicę, gdy ojciec rozkazującym tonem rzekł:

— Ani się waż wychodzić z domu!

— Tatusiu, tylko na momencik!

— Ani na chwilę! Tam, gdzie kule gwiżdżą, nie jest miejsce dla dzieci....

Nie skończył jeszcze mówić, gdy jedna z górnych szyb okna, przy którem stały dzie-

ci, dziwnie zabrzęczała i w tej samej chwili z przeciwległej ściany posypał się tynk.

—Jezus, Marya! kula trafiła w okno! — krzyknęła pani Sławińska.

— Dzieci na podłogę prędko i do drugiego pokoju! — zawołał dziadek.

Dzieci co duchu rzuciły się na podłogę i, czołgając się na czworakach przy bocznej ścianie, pełzły ku drzwiom, starsi zaś postępowali za niemi. Tymczasem kilka kul jeszcze przebiło szyby, ale na szczęście utkwiły albo wysoko w przeciwległej ścianie, albo w suficie, jedna wszakże, której pęd widocznie musiał już być osłabiony, uderzając o ścianę, odbiła się od niej i uderzyła w tę ścianę, przy której właśnie znajdowało się uciekające rodzeństwo.

— Uf! — zawołał Staś, podskakując na podłodze i łapiąc się za nos.

— Co ci? Czyś trafiony? — krzyknęła przestraszona matka i pobiegła ku chłopcu, nie bacząc na własne niebezpieczeństwo.

— Nie, nie, tylko kula uderzyła w ścianę przed samym moim nosem. Myślałem, że go już nie mam, ale nie, tkwi jeszcze na swojem miejscu — odpowiedział chłopiec.

O, nosek mój kochany cały! A, ot, kula, która mi go chciała urwać — dodał, podnosząc z podłogi kulę.

— Pokaż, pokaż! — zawołały inne dzieci, powstając z klęczek i zbliżając się do brata.

— Dzieci, uciekajcie stąd! Widzicie przecie jak tu niebezpiecznie — przestrzegała matka.

Lecz w tej samej chwili strzały, jak nagle powstały, tak nagle też ustały.

— Nie strzelają więcej! — zauważył pierwszy Staś.

— Może tylko na chwilę przestali, trzeba korzystać z tej przerwy i schronić się w bezpieczniejsze miejsce. Uciekajcie wszyscy do piwnicy, a prędko! — powiedział ojciec.

— A tatuś? — spytała Bronka.

— Ja za wami przybędę.

— To ja z tatą zostanę.

— Ani się waż! Uciekajcie wszyscy!

Matka wraz z dziećmi skierowała się do sieni, z której było wejście do piwnicy. Chłopcy podnieśli drzwi, i niebawem uciekających owiało chłodne i wilgotne po-

wietrze piwnicy. Zapalono lampę i czekano nadejścia ojca z dziadkiem.

Minął kwadrans, oni jednak nie zjawili się.

— Czemu papa i dziadek nie przychodzą? — szepnęła Bronka, a w głosie czuć było strach i łzy.

— Może zabici? — ozwał się Władek.

— E, pewnie nie, bo nie słychać było strzałów — odpowiedział starszy brat.

— Bo jesteśmy w piwnicy, to głos nie dochodzi — mówiła Bronka.

— Czekajcie tu, dzieci, ja muszę pójść i zobaczyć, co się tam stało — powiedziała matka i zabierała się ku schodom.

— Nie, mamo! — żywo zawołał Staś. — Niech mama pozwoli, że ja pójdę.

— Ja z tobą — rzekł Władek.

— Dobrze!

I chłopcy zbliżyli się ku wyjściu, gdy w tej chwili z góry ozwał się głos ojca:

— Zdaje mi się, że strzelanina na dobre już przerwana. Nie słychać strzałów, i ludzie wychodzą na ulicę. Posiedźcie tam jeszcze chwilę, a skoro się przekonam, że niebezpieczeństwo minęło zupełnie, dam wam znać.

— Dobrze, ale sam się nie narażaj! — przestrzegała pani Sławińska.

— Bądźcie spokojni o mnie.

— Tylko niech nam tatuś nie każe tu długo siedzieć! — zawołała Bronia.

— Nie dłużej, niż będzie potrzeba. Cierpliwości troszeczkę!

Z temi słowy ojciec oddalił się.

— Masz tę kulę, co ci mało nosa nie urwała? — spytał Władek.

— Mam i zachowam sobie na pamiątkę.

— Pokaż, pokaż, jak ona wygląda — dopraszało się rodzeństwo.

Staś podszedł ku lampie i razem wszyscy poczęli oglądać znalezioną na podłodze kulę karabinową.

— Patrzcie, jak spłaszczona na końcu. Gdyby mnie była trafiła, urwałaby mi calutki nos. Miałabyś, Broniu, brata bez nosa — żartował chłopiec.

— Dobrze ci teraz żartować, ale nie wiem, czy żartowałbyś, gdyby cię nieszczęście było spotkało — powiedziała matka.

— Ciekawy jestem, czy to rosyjska, czy niemiecka kula?

— Pewnie że niemiecka, bo przecieżby Rosyanie do naszych domów nie strzelali

— powiedział z głębokim przekonaniem Staś.

— Kto wie, może i rosyjska, to trudno wiedzieć — z powątpiewaniem ozwała się Bronia.

— E, co ty wiesz! Rosyanie mają inne kule, a inne mają Niemcy — powiedział Władek.

— Myślałby kto, że widziałeś niemieckie i rosyjskie kule, że tak pewno twierdzisz — odpowiedziała obrażona Bronka.

— Nie widziałem, ale wiem.

— A skąd wiesz?

— No, bo wiem!

— Tak samo i ja mogę powiedzieć.

— Nie macie o co się sprzeczać, dzieci. Czy ona rosyjska, czy niemiecka, mniejsza o to, dzięki Bogu, że nie trafiła Stasia, albo kogo innego — ozwała się matka.

— Możebyśmy już wyszli, mamo — powiedział Staś.

— Czekajcie jeszcze! Ojciec powiedział, że da nam znać.

— Może tatuś zapomniał? — rzekła Bronka.

— Nie, nie, bądź spokojna i cierpliwa, bo myślę, że niedługo tu będziemy siedzieli.

Jakoż w sieni zjawił się ojciec i nachyliwszy się ku piwnicy, rzekł:

— Strzelanina już ustała na dobre, — możecie wyjść.

Dzieci rzuciły się ku wyjściu, a za nimi postępowała matka, zgasiwszy wpierw lampę.

Kto strzelał?

— Co to wszystko może znaczyć? — spytała pani Sławińska męża.

— Niewiadomo — odpowiedział zapytany, wzruszając ramionami.

— Ja się zaraz dowiem — powiedział Staś i wybiegł na ulicę.

Na ulicach głucho było. Przestraszeni strzelaniną ludzie nie śmieli wychylić się poza dom, tylko tu i owdzie przed bramami stało po kilka osób, przeważnie mężczyzn i chłopców i cicho szeptali między sobą.

— Czy to Rosyanie napadli Niemców? — spytał Staś, przystając przed jedną sienią.

— Nie wiemy, tak powiadają, ale trudno prawdy dociec — odpowiedział jeden ze stojących w bramie.

Chłopiec pobiegł dalej, po drodze przyłączyło się do niego kilku innych rówieśników, i razem już biegli ku rynkowi. Stanąwszy u wylotu ulicy, spostrzegli na rynku wojsko niemieckie, gotowe do odparcia ataku.

— Może od nich dowiedzielibyśmy się, co znaczyły te strzały? — ozwał się jeden z chłopców.

— Nie myślę, żeby nam powiedzieli, a zresztą nie umiemy po niemiecku — odpowiedział Staś.

— Ja umiem, ja się zapytam! — zawołał inny chłopiec i skoczył ku najbliższemu szeregowi.

Zaledwie jednak zbliżył się na kilkanaście kroków do żołnierzy, gdy stojący przed frontem oficer krzyknął:

— „Halt"!

Chłopiec stanął, jak wryty, bo w tej samej chwili pierwszy szereg podniósł karabiny i wycelował je na niego. Oficer przez chwilę patrzał na stojącego, poczem krzyknął:

— Nazad! Wynoś się stąd!

Chłopiec nie czekając dłużej, zawrócił na pięcie i uciekł do zdumionych zachowaniem się wojska towarzyszów.

— Nie chciał mnie nawet dopuścić — rzekł, stanąwszy przy nich.

— Może się bał, czy nie masz bomby.

— Od Niemców nic się nie dowiemy, musimy pytać gdzieindziej — odpowiedział Staś i obrócił się. — Czekajcie! — zawołał nagle — dowiemy się zaraz wszystkiego. Tam stoi policyant, mój krewny.

To powiedziawszy, pobiegł na przeciwną stronę rynku, gdzie w pobliżu ratusza, w sieni jednego z domów, stał policyant, spoglądając na Niemców.

— Kto to strzelał, Niemcy, czy Rosyanie? — zapytał Staś, stanąwszy przed policyantem.

Stróż bezpieczeństwa publicznego spojrzał na chłopca, a poznawszy w nim swego krewniaka, rzekł przyciszonym głosem:

— Uciekaj, Stasiu, do domu, bo tu niebezpiecznie.

— Ale ja chcę wiedzieć, kto to strzelał, czy się Niemcy bili z Rosyanami?

— Nie, nie — żywo zaprzeczył policyant.

— A kto?

— Sami Niemcy do siebie strzelali.

Staś zdumiał się.

— Doprawdy?

— Tak, widziałem dobrze, bo akurat w tej stronie patrolowałem. Wracałem właśnie od rogatki do miasta. Idąc, spotkałem mały patrol niemiecki, wychodzący z miasta. Stanąłem na chodniku i patrzałem za nimi, życząc im w duchu, by im tam gdzie Rosyanie skórę przetrzepali. Niedaleko za rogatką zniknęli mi z oczu, bo mundury mają takie, że o kilkadziesiąt kroków trudno ich dojrzeć, a zresztą szaro jeszcze było i mgła wisiała, więc obróciłem się i poszedłem w swoją stronę. Nie uszedłem ani dziesięciu kroków, gdy nagle rozległy się strzały. Kilka kul świsnęło mi nad głową, dla bezpieczeństwa przycisnąłem się do najbliższej bramy i czekałem, co to będzie. Za chwilę ujrzałem prędko wracających żołnierzy, tych samych, którzy przed chwilą mnie minęli. Ustępując, ustawiecznie strzelali za siebie. „Widocznie napotkali Rosyan, którzy ich pędzą przed sobą do miasta. Będzie bitwa!” — pomyślałem sobie, bo z za rogatki strzały gęsto padały. Nagle za rogatką z krzaków wyskoczył na drogę jakiś

człowiek i począł wrzeszczeć tak, jakby go ze skóry odzierano, a przytem wywijał i groził zawzięcie rękoma, klnąc siarczyście. W tej samej chwili cofający się oddział Niemców zaprzestał strzelać. Żołnierze stanęli na ulicy, jakby osłupieli i patrzeli na siebie. Po chwili ich oficer pobiegł ku stojącemu na drodze i klnącemu bez ustanku. Gdy się obaj spotkali, rozpoczęła się między nimi ożywiona rozmowa. Słów nie słyszałem, bo daleko było, ale z ruchów poznałem, że Niemcy się kłócili, a najwięcej gestykulował ów pierwszy, co wylazł z pola na drogę. Często pukał palcem w czoło, dając tem znak, jakoby rozmawiający z nim nie miał ani krzty rozumu. Wreszcie zakończyli rozmowę, oficer wrócił do ogłupiałych swych żołnierzy, stojących na środku ulicy i razem z nimi ruszył poza miasto, na rogatce spotkali się z oddziałem wracającym do miasta. Żołnierze tego oddziału poczęli kląć i wymyślać wychodzącym z miasta towarzyszom.

— Ślepe psy! — wołali za nimi — do własnego wojska strzelają!

— Kulą w łeb powinien dostać taki oficer, który nie potrafi rozpoznać swoich od nieprzyjaciela — mówił jakiś żołnierz.

— Żeby to jeszcze było z dala, to nie mówię, ale o kilkadziesiąt kroków przed nosem nie poznać nas i dać rozkaz do strzelania, to już albo waryat, albo ostatni niedołęga musi być taki oficer — dowodził inny żołnierz.

— Wielkie szczęście, że nikt nie padł, a tylko rannych mamy. Ja myślałem, że to nieprzyjaciel przebrał się za naszych i napadł nas.

Tu oddział przeszedł koło mnie, i ja powoli szedłem za nimi aż na rynek. Widzisz tedy, że Niemcy sami do siebie strzelali. Szaro jeszcze było, więc się nie poznali, jedni i drudzy myśleli, że rosyjscy żołnierze na nich następują i poczęli strzelać do siebie.

— A u nas kilka kul wpadło przez okno do pokoju, jedna nawet o mało mnie nie trafiła i myśleliśmy, że Rosyanie napadli na Niemców.

— Nie, nie! — zaprzeczył policyant. — Na własne oczy widziałem, jak Niemcy sami do siebie strzelali, i własnemi uszyma

słyszałem, jak sobie potem wzajemnie wymyślali za to. Wojska rosyjskiego w pobliżu miasta niema, wycofali się zupełnie z okolicy. Ale ty, chłopcze, uciekaj do domu, i jeśli możecie, wyjedźcie wszyscy z miasta gdzieś dalej od granicy, bo kto wie, co nas tu czeka.

Staś podziękował za udzieloną sobie wiadomość i spieszył do domu, zapomniawszy zupełnie o swoich towarzyszach, którzy niecierpliwie czekali na niego. To też widząc, że Staś biegnie ku domowi, zaskoczyli mu drogę, dopytując, kto strzelał. Staś w kilku słowach opowiedział, co się stało za miastem, i chłopcy rozbiegli się po domach.

— Takie wypadki często się zdarzają na wojnie — ozwał się dziadek, wysłuchawszy opowiadania Stasia. I nasz oddział w czasie powstania nasi przez kilka minut ostrzeliwali, myśląc, że to moskiewskie wojsko. Obawiam się tylko jednej rzeczy.

— Czego? — zapytały dzieci.

— Że prusacy nie będą mieli odwagi przyznać się do pomyłki i gotowi zwalić winę na kogo innego.

— Myśli, ojciec? — spytał pan Sławiński.

— U Prusaków wszystko możliwe.

— Toby było największą nikczemnością.

— A czyś ty słyszał kiedy, by Prusak był szlachetnym? Czy nie powtarzałem wam tego, co mówią o Prusakach sami Niemcy? Boję się więc, by oficerowie, dla zatuszowania całej sprawy, wobec wyższej władzy winy nie zwalili na mieszkańców, że to oni do wojska strzelali.

— E, tego chyba już nie zrobią.

— Dałby Pan Bóg.

Zemsta Prusaków.

Godzina czasu minęła spokojnie, gdy nagle na ulicy powstały jakieś krzyki, hałas i zamieszanie.Domownicy,którzy akurat mieli zasiąść do śniadania, zmartwieli na chwilę i w niemem milczeniu spoglądali na siebie. Wtem ktoś zaczął się dobijać do drzwi. Staś skoczył otworzyć i zaledwie uchylił je, gdy z dyszany z przestrachem w oczach wpadł do sieni ich sąsiad:

— Kryjcie się, uciekajcie, gdzie możecie! — wyrzucił jednym tchem z siebie!

— Co się dzieje? co takiego? — zawołali wszyscy.

— Okropne rzeczy!

— Ale co? ale co?!

— Słyszeliście ranną strzelaninę?

— Tak, i wiemy, że to sami Niemcy do siebie strzelali.

— Otóż tak istotnie było.

— To coż nas to może obchodzić, że się Niemcy mylą i własnych żołnierzy poznać nie mogą — powiedział pan Sławiński, który już odzyskał zimną krew i spokój. — Myśmy temu nie winni.

— Tak, zapewne, że myśmy nie winni i może nicby z tego nie było, gdyby nie to, że patrol niemieckiej kawaleryi, który wyszedł na zwiady, natknął się za miastem na patrol kawaleryi rosyjskiej i, doznawszy zupełnej porażki, śpiesznie wrócił do miasta. Rosyanie gonili ich aż do samego miasta. Prusacy teraz wściekli się. Powiadają, że myśmy ich zdradzili, że cywilni strzelali do nich, że nawet z ratusza padły strzały do wojska, więc rozpoczęli zemtę, a to wszystko tylko w tym celu, by przed wyższą władzą pokryć i zatuszować własne błędy. Spokojnych mieszkańców, Bogu ducha winnych ludzi, robią kozłami ofiarnymi, szelmy pruskie!

— To nie może być, to nie może być! — szepnęła blada pani Sławińska:

— Owszem, pani, to jest! Właśnie wracam z ratusza.

— I co się tam stało? — spytał dziadek.

— Ano komendant pruski przywołał do siebie burmistrza i zażądał od niego natychmiast kilkadziesiąt tysięcy kontrybucyi.

— Za co?

— Za to, jak mówił Prusak, żeśmy ich zdradzili, że trzymamy z Rosyanami.

— Kłamstwo, myśmy nikogo nie zdradzili! — zawołał Staś.

— Cicho Stasiu, nie przerywaj — upomniał ojciec. — I co, czy Bukowiński wypłaci kontrybucyę? — spytał, zwracając się do gościa.

— Gdzież ją może wypłacić, kiedy pieniędzy niema w kasie, bo uciekający urzędnicy zabrali wszystko, co do grosza. Tak też powiedział komendantowi, za co Prusak, wezwawszy żołnierzy, kazał Bukowińskiego bić. Tłukli go, jak nieboskie stworzenie i potem okrwawionego i zaledwie dyszącego wy rzucili na bruk.*)

— Boże! to okropne! — szepnęła pani Sławińska.

---

*) Prawdziwe.

— To nic jeszcze, bo gdy woźny zobaczył okrwawionego i na pół żywego Bukowińskiego, wyniósł materac i poduszkę i ułożył na nich rannego. No, i wiecie, moi państwo, co te szelmy pruskie zrobiły? — Zastrzeliły woźnego!*)

— Co pan mówisz? zastrzelili człowieka niewinnego za to tylko, że chciał ulżyć cierpieniu bliźniego?! To wprost już przechodzi wiarę ludzką!

— Ano, zastrzelili, jak psa! Pochwycili człowieka, zawlekli do najbliższego płotu i — bez miłosierdzia zastrzelili!....

— Jezu, Jezu! Co to będzie! — szeptała przerażona pani domu, tuląc do siebie dzieci. — Albo uciekajmy stąd, albo co?.....

— Uciekajcie, uciekajcie, jak najprędzej! Wiecie, że już w niedzielę wysłałem żonę z dziećmi do Warszawy, wczoraj zacząłem żałować, bo, widząc spokojnie zachowujących się Niemców, myślałem, że tak zawsze będą się zachowywali, ale po tem, co dziś widziałem, dziękuję Bogu, żem rodzinę wysłał. Uciekajcie i wy, póki czas!

Lecz nie było już czasu na ucieczkę, bo

*) Prawdziwe.

w tej samej chwili przed bramą domu wszczął się hałas i po sieni rozległo się głośne bicie we drzwi.

— Prusacy, mamo! — szepnął Staś, który wyjrzał oknem.

Na to słowo pobledli wszyscy.

— Czego oni chcą? — mruknął dziadek. — Poczekajcie, pójdę otworzyć.

— Niech ojciec zostanie, ja pójdę — rzekł pan Sławiński.

— Nie, mój kochany. Ty masz żonę i dzieci! Twoje miejsce przy nich. Pozwól, że ja pójdę i rozmówię się z nimi, przecie mnie starego nie zabiją.

Nim jednak dziadek zbliżył się ku drzwiom, w sieni rozległ się trzask wybitych drzwi wchodowych i do pokoju z nadzianymi bagnetami wpadło kilku pruskich żołnierzy. Lecz właśnie ten gwałt oburzył do żywego wszystkich mieszkańców, zamiasta strachu, zawładnął nimi gniew i obrażona ambicya spokojnego i nikomu zła niewyrządzającego człowieka.

— Jakiem prawem w ten sposób postępujecie w moim domu? — zapytał pan Sławiński.

— Zabrać go i tego starego grzyba też! — zakomenderował oficer, nie odpowia-

dając na pytanie, a ujrzawszy trzeciego mężczyznę, dodał: — I tego również!

Żołnierze otoczyli wszystkich mężczyzn. W całym domu nastąpił niesłychany popłoch. Pani Sławińska osłupiałym wzrokiem patrzała, to na Prusaków, to na otoczonych przez nich mężczyzn, nie mogąc zdać sobie sprawy, co to wszystko ma znaczyć; dzieci również przestraszone, wielkiemi oczyma przyglądały się tej scenie. Nagle Bronia wybuchła głośnym płaczem.

— Zabiją nam tatusia i dziadka! O Boże! — zawołała i rzuciła się ku ojcu.

— Nie zabierajcie nam tatusia i dziadka! — krzyczała dziewczynka, zalewając się rzewnemi łzami.

— Dlaczego nam zabieracie męża i ojca? — zawołała pani Sławińska i skoczyła ku drzwiom, by zagrodzić drogę.

Prusacy nie umiejący po polsku, nic nie rozumieli. Oficer dał znak do odejścia, żołnierze popchnęli mężczyzn ku drzwiom.

— Nie puszczę was! — krzyknęła z desperacyą pani Sławińska. — Chcecie mi zabić męża i ojca, wy mordercy, jak zabiliście niewinnego woźnego.

— Precz z drogi! — krzyknął rozwścieczony oficer.

— Nie! to wy precz z mego domu! — odpowiedziała.

— Maryniu, duszko moja, daj pokój. — Przecie nas na śmierć nie prowadzą, bośmy im nic złego nie zrobili. Ustąp od drzwi! — ozwał się proszącym głosem pan Sławiński.

— Nie, nie ustąpię! Nie dam was tym pruskim zbirom, mordercom dzieci i niewinnych ludzi! Zamordują was!

— Ależ!.... Skądże znów takie przypuszczenia? Odejdź od drzwi, bo to ich więcej jeszcze rozdraźni — perswadował dziadek.

— Nie, nie, powtarzam nie dam was tym siepaczom!

Wtem chłopcy opamiętali się i jednym susem skoczyli do matki.

— Puście nam tatę i dziadka! — zawołał Staś, ściskając pięście.

— Puście zaraz, bo wam łby pruskie porozbijamy! — dodał Władek.

— Chłopcy! odejdźcie od drzwi natychmiast! Słyszeliście?! — zawołał ojciec.

— Tatuś wybaczy, ale nie odstąpimy mamy i nie damy was Prusakom.

Scena ta widać już za długo trwała i zniecierpliwiła oficera, bo wskazując jednemu z żołnierzy na panią Sławińską, rzekł:

— Usunąć od drzwi tę rozwścieczoną wilczycę polską!

— Umiej się pan grzecznie zachować przynajmniej wobec kobiet! — ozwał się dziadek.

— Milcz, stary dziadu! — krzyknął Prusak i zaklął. — Odepchnąć tę wiedźmę!

Żołnierz zbliżył się ku pani Sławińskiej z zamiarem odsunięcia jej od drzwi.

— Precz ode mnie! Nie dotykaj mnie! — krzyknęła.

— Ustąp, Marynko! — prosił mąż.

— Nie!

— Naprzód! — krzyknął oficer.

Żołnierz rzucił się ku pani Sławińskiej, trzymając w jednej ręce karabin, drugą starał się ją uchwycić i odciągnąć z drogi. Na ratunek rzuciły się dzieci i, obskoczywszy Prusaka, poczęły go okładać pięściami, gdzie popadło. To doprowadziło żołnierza do wściekłości, wymierzył więc raz i drugi silne uderzenie, dzieci poprzewracały się

na podłogę, a on, złapawszy w pół matkę, usunął ją od drzwi. W tej samej chwili inni żołnierze popchnęli aresztowanych mężczyzn i wyszli z nimi na ulicę. W ślad za nimi wybiegła, puszczona przez żołnierza pani Sławińska i płacząca dziatwa. Żołnierze skierowali się ku rynkowi.

Na ulicy wszędzie krzyk, płacz i narzekania, na rozkaz bowiem dzikiego dowódcy pruskiego, żołnierze wpadali do mieszkań i, podobnie jak w domu państwa Sławińskich, aresztowali napotkanych mężczyzn i spędzali ich przed ratusz miejski.

Za aresztowanymi mężczyznami, szlochając i narzekając głośno, postępowała gromada niewiast, dziewcząt i dzieci. Wszystkie one były przekonane, że Niemcy natychmiast rozstrzelają ich mężów, ojców i braci, jak to uczynili z woźnem magistrackim. To też, w miarę zbliżania się ku magistratowi, przed którym już z dala widać było w szeregach ustawionych żołnierzy pruskich, płacz i lamenty wzmagały się coraz bardziej. Z piersi nieszczęśliwych żon, matek, sióstr i dzieci wyrywały się jęki bólu serdecznego i narzekań:

— Boże, Boże! zabiją mi męża!

— A mnie tatusia!

— I mojego też!

— I naszego porwali!....

— Wszystkich wiodą na stracenie te katy pruskie! Bodaj ich Bóg pokarał! Jedynego syna mi zabrali i pędzą na śmierć! Czy już Boga niema na niebie, że tak nas krzywdzić mogą?! — narzekała z desperacyą jakaś siwowłosa staruszka, ledwie na nogach utrzymać się mogąca i podpierająca się laską.

— Nie desperujcie, pani Maciejowa! — ozwał się nagle tuż obok niej łagodny głos. — Nie desperujcie jeszcze, Bóg jest na niebie, a co więcej jest z nami. Miejcie nadzieję, że syna nie utracicie — pocieszał ten sam głos.

— Jak nie desperować, księże dobrodzieju? Wszak to jedyna podpora mojej starości, i te katy pruskie wloką go na śmierć! Widzi ksiądz, ilu ludzi pędzą? — odpowiedziała staruszka, poznawszy w mówiącym swego proboszcza.

— Widzę, widzę i idę razem z wami, by na każdy wypadek być blisko was i dzielić wspólny los — odrzekł kapłan. — Może to nie na rozstrzelanie ich wiodą, bo i za cóż-

by mieli zbaijać niewinnych ludzi? — dodał po chwili milczenia.

— Czy to Prusak powie, za co morduje? Wszak nas już wieki całe mordują — odpowiedział jakiś głos z tłumu.

Wreszcie doszli na rynek i stanęli przed ratuszem, otoczonym kordonem żołnierzy z karabinami u nogi, ną których w promieniach słonecznych połyskiwały bagnety. Przed kordonem stały gromady niewiast, dziewcząt i dzieci głośno płaczących, za kordonem zaś, przed samym ratuszem, stała gromada mężczyzn różnego wieku, począwszy od siwowłosych starców, aż do kilkunastoletnich wyrostków. Gromada ta mogła liczyć około trzystu głów. Stali wszyscy spokojni, jak głazy. Na twarzach ich widać było pogardę dla pruskich barbarzyńców, ale nie widać było, ani bojaźni, ani strachu. Ze spokojem czekali, co im los przyniesie.

Naraz z ratusza wyszedł główno dowodzący oficer, o ryżym zaroście, mający twarz podobną do tygrysiej mordy. Za nim postępowało kilku oficerów. Prusak przez swego tłómacza oznajmił spędzonym przed ratusz Kaliszanom, że za zdradę,

której się dopuścili względem wojska pruskiego, strzelając z urkycia do niego tego rana, muszą odpokutować i dlatego wszyscy, otoczeni kordonem, będą leżeli na ziemi twarzą do niej, a później co dziesiąty z nich będzie rozstrzelany. Kara ta ma być przestrogą dla wszystkich, nietylko Kaliszan, ale wogóle dla wszystkich Polaków, aby wiedzieli, że mają się bać Prusaków.

— To nikczemne kłamstwo! — zawołał Staś. — To nieprawda! Sami Prusacy do siebie strzelali!

— Milczeć tam! — krzyknął jeden z niższej rangi oficerów.

— To poco kłamiecie?

— Będziesz ty milczał, szczeniaku! Bo ci gardło bagnetem przebodę — zagroził ten sam żołnierz i zwrócił karabin ku chłopcu.

— Morduj, Prusaku, jak mordowaliście wrzesińskie i poznańskie dzieci! Morduj! Nie boję się ciebie!

W tem rozległa się komenda:

— Twarzą do ziemi i leżeć!

Nikt z mężczyzn się nie poruszył.

— Słyszeliście?! Kłaść się na ziemię!

Rozkazu nikt nie wykonał.

— Leżeć! — wrzasnął rozwścieczony oporem dowódca.

Ale i tym razem nikt nie usłuchał rozkazu, wszyscy stali z hardo podniesionemi głowami, patrząc na oficera.

Wtem, nim ktokolwiek się mógł spodziać, żołnierze kolbami poczęli uderzać stojących, to po głowie, to między łopatki. Od tych uderzeń skazani na karę poupadali twarzą na ziemię tak, jak padają muchy, gdy je się uderzy klapką. Skoro tylko który z mężczyzn upadł na ziemię, w tej samej chwili żołnierz stawiał mu kolbę karabinu na głowie i przyciskał ją do ziemi. W ten sposób kilka setek niewinnych ludzi rozciągło się przed ratuszem i leżało u stóp dzikiego Prusaka, jak ongi felahowie leżeli przed mijającym ich faraonem.

Na ten widok z piersi zebranego za kordonem tłumu podniósł się okrzyk zgrozy i najwyższego oburzenia. Ludzie zasłaniali oczy, by nie widzieć tej upokarzejącej i hańbiącej godność człowieka kary. Lecz uczucie to wnet minęło, a, zamiast niego, w sercach wszystkich, nie wyjmując najmniejszych dzieci, powstała taka bezgraniczna pogarda dla pruskich barbarzyńców, jaka

tylko powstaje w duszy człowieka, gdy jest skrzywdzony jedynie dlatego, że jest słabszym, że jest bzesilnym wobec przemocy brutalnego krzywdziciela. Pod wpływem tego uczucia w jednym momencie ucichł płacz dzieci i szlochanie niewiast, i na całym rynku zapanowało grobowe milczenie, tylko serca tłumu i leżących, wezbrane bezsilnym gniewem i pogardą dla ciemięzców, tłukły się mocno w piersiach. Po chwili zimne, skamieniałe twarze matek, żon, sióstr i dzieci podniosły się w górę, zwróciły ku ratuszowi, na stopniach którego stał ryży komendant, i wzrokiem, pełnym pogardy i obrażonej godności człowieka, przesłały mu tylko dwa wyrazy:

— Jesteś nikczemnikiem!

Prusak widocznie odczuł tę pogardę tłumu, bo nagle zmieszał się; butny jego wyraz twarzy zmienił się, stał się niepewnym, bojaźliwym, małe i złośliwe oczy poczęły biegać niespokojnie z tłumu na leżących przed ratuszem, a z nich na swe wojsko, jakby się chciał upewnić, że je ma w pobliżu, że mu pospieszy z pomocą, gdyby tłum nagle chciał się rzucić na niego. Ale tłum ten, choć do żywego obrażony brutal-

stwem i niesprawiedliwością Prusaka, narazie nie myślał o zemście, bo wiedział, że ona nie w jego sile, że z gołemi rękoma nie może się rzucić na uzbrojonych najeźdzców, stał więc niemy, jakby skamieniały zewnętrznie, ale z ukropem gniewu w duszy i te uczucia wyrażał swym wzrokiem, który coraz więcej począł jakby przygniatać i miażdżyć Prusaków, tak, że go już dłużej nietylko sam dowodzący, ale i jego otoczenie znieść nie mogli. W tej chwili woleliby byli, by ten tłum wybuchnął gniewem, niż tą zimną, jak lód, pogardę.

— Chodźmy stąd, dosyć mamy tego widoku! — ozwał się jeden z oficerów, który już dłużej wytrzymać nie mógł.

— Po dwóch godzinach kazać im powstać, co dziesiątego zatrzymać, a innym pozwolić odejść do domu — rzekł dowodzący do innego oficera i nie mówiąc ni słowa więcej, odwrócił się i razem z innymi oficerami wszedł do ratusza, w którym była kwatera komendy.

Po odejściu oficerów, ze stojących za kordonem nie ruszył się ani jeden człowiek, nie podniósł się też ani jeden głos groźby, z wyjątkiem tylko jednego, który

głośnym echem rozległ się po rynku, a brzmiał:

— Uciekacie! Bóg was znajdzie i za to pohańbienie niewinnych sprawcę surowo ukarze.

Był to istotnie jakby proroczy głos, gdyż niedługo potem oficer ten, który w taki sposób kazał wymierzyć niesprawiedliwą karę, dostał się do niewoli rosyjskiej i, jako zwykły bandyta, a nie żołnierz, przez sąd polowy został skazany na powieszenie.

Tymczasem, jak zwykle bywa po wielkiem podnieceniu, w tłumie, stojącym za kordonem, nastąpiła reakcya. Skoro z oczu zniknęli sprawcy tej krzywdy, ludzie powoli poczęli zwracać swój wzrok na leżących, między którymi bliżej stojący mogli rozpoznać najdroższe sobie osoby, to ojca, to męża, to brata, lub krewnego i przyjaciela. Ten widok w prochu leżących najdroższych osób z serc patrzących po woli zaczął rugować gniew i pogardę do Prusaków, a budzić w nich wielkie uczucie miłości i litości dla pohańbionych. Na skamieniałych przed chwilą twarzach zaczął się zjawiać głęboki smutek, boleść i żal, w

oczach poczęły się szklić łzy, które wnet, jak perły, zaczęły się staczać na policzki i spadać na ziemię. Niebawem tu i owdzie, najprzód rzadsze, później coraz częstsze ozwało się szlochanie, które w niedługim czasie zamieniło się w ogólny płacz. Na około słychać było tylko łkania i płacz, a tak rzewne i serdeczne, iż czuć było, że to nie płaczą nerwy podnieconych kobiet i rozżalonych dzieci, ale płacze dusza, głęboko, na wskrość, bólem przejęta, a dusza nie samych Kaliszan, ale dusza polska, dusza całego narodu, zraniona i shańbiona butą odwiecznego i brutalnego jej wroga — Krzyżaka.

I płakał lud przez cały czas trwania dzikiej tej kary, płakała pani Sławińska, Bronka i Władek, Staś tylko siłą woli, gryząc wargi, tłumił łkanie, ale łez wstrzymać nie mógł, i płynęły mu one z oczu, wielkie, perliste. Chłopiec co trochę podnosił rękę i ocierał je, a one wciąż zalewały mu oczy i strumieniem spływały po licach. Nagle żachnął się, jakby go gad jaki ukąsił. W tej chwili bowiem przez zapłakane oczy ujrzał, jak ojciec jego, czy aby polepszyć sobie pozycyę, czy też z jakiejś innej przy-

czyny, poruszył się i podniósł głowę, gdy w tej samej chwili ciężka kolba żołdaka z siłą spadła na głowę ojca, a on jęknąwszy, złapał się rękami za głowę i zasłaniał ją przed spadającymi razami; dziadek, widocznie dla zobaczenia przyczyny jęku leżącego obok niego ojca Stasia, również podniósł głowę i tak samo otrzymał uderzenie kolbą. Widział to Staś, i nowy ból przeszył jego serce.

— Co się stało? — spytała przez łzy matka, przygarniając chłopca do siebie.

— To, to....

Ale nie skończył zdania, nie chciał więcej jeszcze ranić serca matki, więc nie powiedział jej tego, co widział.

Straszna i okrutna ta scena na rynku trwała, jak zapowiedział oficer, półtorej godziny. Po upływie tego czasu, żołnierze rozkazali powstać leżącym. Poczęli się oni dźwigać leniwie, ociężale, najprzód na kolana, potem stanęli na nogi. Wyprostowawszy się, stali, jak posągi z kamienia wykute, bezmyślnie wpatrzeni w ziemię, czy w końce butów, jakby się dziwili, skąd one się w tem miejscu wzięły i do kogo należą. W martwych ich twarzach nie było ani

kropelki krwi, oczy były bez życia, zdało się, że w sponiewieranych ludziach zamarło wszelkie uczucie, pozostała tylko sromota i piętno niewolnika z zamierzchłej przeszłości.

W tłumie poza kordonem, na widok podnoszących się z ziemi ojców, mężów, braci i przyjaciół, powstało zamieszanie, wszyscy zaczęli się cisnąć, by jak najprędzej i jak najbliżej przedostać się do drogich osób, lecz uderzeniami kolb pruscy żołdacy powstrzymali napór.

Nagle jeden z żołnierzy zbliżył się do bezmyślnie stojących mężczyzn i, na chybił trafił, począł liczyć:

— Jeden, dwa, trzy.... dziesiąty! Na bok! — I znów: — Jeden, dwa, trzy.... dziesiąty — na bok!....

W ten sposób, po przeliczeniu wszystkich, na boku stanęła gromadka z przeszło dwudziestu mężczyzn, między nimi był też i pan Sławiński, tego jednak nie zauważyła, ani jego żona, ani żadne z dzieci, którym udało się docisnąć do samego kordonu. Na rozkaz oficera, w mgnieniu oka silny konwoj otoczył oddzielonych mężczyzn i wyprowadził ich z koła. Ponieważ równo-

cześnie żołnierze, trzymający kordon, rozerwali go, więc wszyscy zgromadzeni za nim naraz rzucili się ku uwolnionym i, z powodu powstałego zamieszania, nikt nawet nie zauważył szybko oddalającego się oddziału Prusaków z nieszczęśliwymi jeńcami. Dopiero po dłuższym czasie rozpoczęto dopytywania, co się stało z resztą mężczyzn.

Pani Sławińska była w rozpaczy, gdy od dziadka dowiedziała się, jaki los spotkał jej męża. W domu powstał płacz i narzekania.

Koniec Części Pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA

Na wywiady.

Wreszcie, gdy się cokolwiek uspokojono, Bronka załzawionemi i czerwonemi od płaczu oczyma spojrzała na dziadka i zapytała:

— Co oni zrobią z tatusiem, dziadusiu?

— Nie wiadomo. Komendant na początku zapowiedział, że co dziesiątego z nich rozstrzelają — odpowiedział jakimś nie swoim i bezdźwięcznym głosem dziadek.

— O, Boże, Boże! — jęknęła pani Sławińska, wybuchając spazmatycznym płaczem.

— O Boże, Boże! — wtórowała Bronka, zanosząc się od łkania. — Tatę nam ci obrzydliwi Niemcy zamordują!....

— Nie desperujcie, może Bóg da, że wróci żywy — szepnął dziadek, który sam nie wierzył w to, co powiedział, ale powiedział tylko dlatego, by innych pocieszyć i dodać im otuchy.

Jakoż na moment płacz ustał, pani Sławińska spojrzała na ojca, w oczach błysnął ogień nadziei.

— Myśli ojciec, że go nie zastrzelą ci brutale? — spytała, ale wnet dodałą z powątpiewaniem: — Nie, nie! w to trudno uwierzyć, oni i jego i wszystkich zamordują!....

I znów w izbie rozległ się płacz i lament matki i dzieci.

— Kto wie? Może Niemcy tylko nastraszyć chcieli ludzi i zagrozili rozstrzelaniem, bo przecież ta haniebna i niesprawiedliwa kara powinna im wystarczyć.... Miejmy nadzieję! — perswadował dziadek.

— To czemu ich nie puścili? czemu ich odwiedli? — Mówiła pani Sławińska.

— Powiedziałem, by ludzi nastraszyć. Gdyby chcieli ich rozstrzelać, byliby to zrobili zaraz na miejscu, jak zrobili z woźnem magistrackim.

— Woźny był jeden, a ich więcej.

— To właśnie, co mię przekonywa i daje nadzieję, że ich Niemcy nie rozstrzelali — za dużo ich było, a przyczyny nie mieli, bo że z mieszkańców nikt nie strzelał do Niemców, to oni wiedzą o tem bardzo dobrze,

ale, dla zatajenia i zatuszowania całej sprawy, wywołują teror w ludziach, aby się bali i milczeli. Uspokójcie się więc, bo może nie będzie tak źle z nimi, jak Prusak zapowiedział, i jak wszyscy myślą. Odprowadzili ich gdzieś, potrzymają jakiś czas i puszczą.

— Dałby Bóg, by słowa ojca się sprawdziły — odpowiedziała pani Sławińska, i słaby promyk nadziei wstąpił w jej serce.

Dzieci spostrzegłszy, że matka uspokoiła się, powoli zaprzestały płakać i tuląc się do niej, szeptały:

— Mamo, mamusiu, czy mama myśli, że jest prawdą to, co dziadek mówi?

— Nie wiem, dzieci. Być może, że tak jest, jak dziaduś powiada. Ale kto to może wiedzieć?.... Oh, Boże, Boże!

I, rzuciwszy się na kanapę, zalała się łzami. Dzieci otoczyły matkę i starały się ją pocieszyć.

— Nie płacz, mamusiu, bo może tatuś wnet do nas wróci — mówiły jedno za drugiem, ściskając i całując matkę.

— Oby tak było! Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, gdzie go zaprowadzili, ale i tego nie wiemy.

Na te słowa Staś wyprostował się, spojrzał na dziadka i rzekł:

— Ja się pójdę dowiedzieć, gdzie Niemcy zaprowadzili odłączonych mężczyzn.

— Nie, Stasiu! zostań lepiej w domu, bo i ciebie może spotkać jakie nieszczęście — odpowiedziała przez łzy matka.

— Nic mi nie będzie, mamo. Nie jestem przecie małem dzieckiem i dam sobie radę.

To powiedziawszy, chłopiec uściskał matkę, pochwycił czapkę i zabierał się do wyjścia, gdy Władek stanął przy nim, mówiąc:

— Ja też idę z tobą!

— Nie, Władku, ty musisz pozostać w domu, bo możesz tu być potrzebnym: musisz zaopiekować się mamą i Bronką.

— Dziaduś pozostanie — odparł chłopiec.

— Ale ty będziesz dziadusiowi do pomocy. Ja pójdę sam!

Z temi słowami Staś wybiegł z domu. Znalazłszy się na opustoszałej ulicy, stanął i począł się namyślać, gdzie ma pójść i do kogo się udać, by zasięgnąć potrzebnych wiadomości o tem, gdzie Prusacy odprowadzili skazanych na rozstrzelanie. Naraz uszu jego dobiegło przyciszone wołanie:

— Stasiu! Stasiu!

Chłopiec obejrzał się prędko i w trzeciej bramie ujrzał ukrytego za drzwiami swego przyjaciela i rówieśnika, Karolka Skibińskiego. Chłopiec wychylił tylko głowę z bramy i palcem kiwał na Stasia, który natychmiast podbiegł ku niemu.

— Gdzie idziesz? — spytał Karolek.

— Szukać ojca, Niemcy go uprowadzili.

— Mojego też zabrali i mają wszystkich rozstrzelać! O mój tatuś, mój biedny tatuś! — zawołał Karolek i rozpłakał się.

— Cicho nie płacz!

— Jak nie mam płakać, kiedy mi ojca zabiją Niemcy?

— Może nie.

— Skąd wiesz? Wszyscy powiadają, że Niemcy odłączonych mężczyzn poprowadzili na rozstrzelanie .

— Może tak, a może i nie. Mój dziadek powiedział, że, gdyby ich mieli rozstrzelać, toby zaraz to uczynili na miejscu, jak zrobili z woźnem magistrackim, a że tego nie uczynili, to znak, że ich nie rozstrzelają.

— Doprawdy?! Zaraz muszę powiedzieć o tem mamie i rodzeństwu, bo wszyscy płaczą i płaczą.

Tu Karolek zawrócił do mieszkania, lecz wstrzymał go Staś:

— Czekaj! — rzekł.

Chłopiec stanął i pytającym wzrokiem spojrzał na przyjaciela.

— Czy wiesz, gdzie oni odprowadzili naszych? — spytał Staś.

— Nie i zdaje się, że nikt nie wie, bo stało się to tak prędko, iż nikt nie zauważył, w którą udali się stronę i gdzie aresztowanych zaprowadzili i umieścili. Pytałem się o to kilku osób, ale nikt nic nie wie.

— Tedy słuchaj, co ci powiem.

— Mów!

— Powiedz w domu, co słyszałeś odemnie i przyjdź zaraz, a pójdziemy dowiadywać się, gdzie Niemcy uprowadzili naszych i czy już ich rozstrzelali. Chcesz?

— Owszem! Zaczekaj na mnie, zaraz tu będę, tylko mamie powiem.

— No, to biegnij i nie baw długo, bo szkoda czasu!

Karolek skoczył do mieszkania i po kilku minutach wybiegł z niego. Tuż za chłopcem wybiegła matka jego i rodzeństwo:

— Stasiu, czy to prawda, co mówiłeś Karolkowi? — zapytała matka, patrząc na

chłopca. — Czy wiesz na pewno, że Niemcy nie rozstrzelali naszych?

— Nie, proszę pani, na pewno nie wiem. Powiedziałem tylko przypuszczenie mojego dziadka.

— A więc nic nie wiesz pewnego? — powiedziała matka Karolka, a w głosie czuć było zawód.

— Pewnego nic nie wiem, proszę pani. Ale, jeśli pani pozwoli Karolkowi, to pójdziemy na miasto i może dowiemy się, co się stało z aresztowanymi.

— Dobrze, idźcie, tylko uważajcie, by wam się co złego nie zdarzyło.

— Niech się mama nie obawia! — odpowiedział Karolek.

Chłopcy wyszli.

— Gdzie pójdziemy? — spytał Karolek, zatrzymując się przed bramą.

— Chodźmy naprzód ku ratuszowi, może tam uda nam się od kogo zasięgnąć wiadomości.

— Byleśmy się dowiedzieli, w którą stronę jeńców uprowadzili, to potem łatwo ich odszukamy.

— Żeby tylko przedtem nie rozstrzelali ich — zauważył Staś.

— Mówiłeś, że ich nie rozstrzelali?

— Wiesz przecie, że to tylko przypuszczenie dziadka, a nie pewność.

— Może dziadek się myli?

— Może, a może i nie. O tem my właśnie musimy się przekonać.

Tak rozmawiając, chłopcy doszli do rynku. Zatrzymali się i spojrzeli na około, oprócz pruskich żołnierzy, nie ujrzeli nikogo więcej.

— Możebyśmy się spytali tych żołdaków pruskich? — ozwał się Karolek.

— Nie myślę, by się to na co zdało — odrzekł Staś, bo sobie właśnie przypomniał, w jaki sposób rano oficer zachował się względem chłopca, który chciał go się zapytać o to, kto strzelał.

— Ale spróbujmy, to nam nic nie zaszkodzi. Powiedzą, to dobrze, a nie powiedzą, to pójdziemy dalej.

— Próbujmy!

Chłopcy nieśmiało zbliżyli się do jednego z kawalerzystów pruskich, który stał przed oknem sklepu i przyglądał się wyłożonym na widok publiczny rzeczom. Przez chwilę i oni niby przyglądali się tym przedmiotom, a w rzeczywistości z pod oka uwa-

żnie obserwowali Niemca, chcąc się przekonać, czy warto go będzie zaczepić. Po krótkiej obserwacyi, spostrzegli, że Niemczysko nie wygląda na złego człowieka. To ich ośmieliło.

— Umiesz po niemiecku? — szepnął Staś.

— Trochę ze szkoły.

— No, to pytaj, jak umiesz.

W tej chwili żołnierz spojrzał na nich. Chłopcy na moment zapomnieli języka w gębie.

— Pytaj! — szepnął Staś po chwili, szturchając łokciem towarzysza.

— Czekaj, czekaj, niech sobie przypomnę słówka.

— Pytaj, bo odejdzie! — nalegał Staś, widząc, że Niemiec, przypatrzywszy się wystawie, zamierzał odejść od okna.

— Zaraz, tylko sobie przypomnę!

Wtem Niemiec odwrócił się i postąpił krok naprzód od okna. Staś nie czekał już na towarzysza, ale zebrawszy całą odwagę, na jaką go w tej chwili stać było, zbliżył się ku odchodzącemu i zdjąwszy czapkę, drżącym głosem ozwał się:

— Przepraszam pana, że go zatrzymuję...

— Was? — odpowiedział Niemiec i obrócił się prędko.

Lecz ujrzawszy przed sobą tych samych chłopców, którzy stali obok niego i przyglądali się wystawie, odwrócił się i chciał odejść, atoli Staś zastąpił mu drogę i znów drżącym głosem, w którym czuć było i łzy i prośbę, rzekł:

— Przepraszam pana....

— Was is das? was wolen sie? (Co to jest? czego chcesz?) — odpowiedział grubym głosem Niemiec i surowym wzrokiem zmierzył obu chłopców, od czego aż im ciarki przeszły po ciele.

Przyjaciele zlękli się Niemca i zupełnie stracili ducha. Staś, kręcąc czapkę w rękach, przestępował z nogi na nogę i nie wiedział, co robić. Łzy poczęły mu napływać do oczu. Spostrzegł to Niemiec, a pociągnięty miłą twarzyczką Stasia, spojrzał po raz drugi na niego, tym razem łagodnie i, dla ośmielenia chłopca, pogładził go po głowie i rzekł po niemiecku:

— Proszę, czego chcecie?

To ośmieliło chłopców.

— Czy pan mówi po polsku? — spytał Staś.

— Bardzo troche niewiele. A wy nie umiecie niemiecki? Szkola was uczyla po niemiecki? Czy ni?

— Tak, ale my nie potrafimy mówić.

— No, a co kciala?

— Mamy wielką prośbę do pana oficera — rzekł już ośmielony zupełnie Staś, który spostrzegł, że rozmawiający z nimi Niemiec nie jest zwykłym szeregowcem, ale oficerem.

— Cóż to za prośba? Mów śmiało, nie bój się! — powiedział Niemiec łamaną polszczyzną i znów pogładził Stasia po głowie, a uchwyciwszy go pod brodę, podniósł mu głowę, spojrzał w oczy i z pewną serdecznością w głosie mówił:

— I ja w domu mam takiego chłopca, jak ty. Ile lat masz?

— Mam trzynaście lat.

— Mój też ma trzynaście. No, co mi powiesz?

— Proszę pana oficera, niech pan będzie tak dobry i powie nam, czy rozstrzelaliście naszych ojców?

— Czy rozstrzelaliśmy waszych ojców? — powtórzył wolno pytanie Niemiec.

— Tak, mego tatusia, ojca tego chłopca i innych?

Niemiec nic nie odpowiedział, patrzał tylko jakimś dziwnym wzrokiem na obu chłopców. Może myślał w tej chwili o swoim synku, o żonie, których tam daleko w kraju zostawić musiał; może przyszło mu na myśl, że kto wie, czy w tej samej chwili własny jego synek nie stoi też tak przed jakim oficerem francuskim lub angielskim i nie błaga go o co. Nie wiadomo, jaki obraz miał przed oczyma duszy w tej chwili, dosyć, że w tym momencie nie był to butny i nieznający miłosierdzia pruski oficer, ale człowiek zwykły ze sercem, z uczuciem ojcowskiem, które wyraźnie malowało się na twarzy i przebijało we wzroku, jakim spoglądał na stojących przed nim chłopców, a którym to milczenie wydało się zbyt długiem, ciężkiem i niepewnem, myśleli bowiem, że pewno ojcowie ich już są rozstrzelani, kiedy Niemiec nic im nie chce odpowiedzieć, i usta poczęły im drgać i krzywić się, w oczach zaszkliły się łzy. Obaj jednak gryźli wargi i starali się zapanować nad sobą, wyczekując odpowiedzi.

— A jeśli już rozstrzelani, to co? — zapytał wreszcie Niemiec i spojrzał na chłopców, chcąc widzieć, jakie wrażenie na nich zrobią te słowa.

Chłopcy zbledli, usta skrzywiły się do płaczu, lecz przygryźli wargi aż do krwi prawie, byle tylko nie wybuchnąć płaczem, łez jednak wstrzymać nie mogli, polały się one strumieniami po ich policzkach.

— Dzię.... dzię.... dzię.... — ozwał się przez zaciśnięte zęby Staś, lecz nie był już w stanie wypowiedzieć całego podziękowania za bolesną wiadomość, bo łkanie dusiło go w gardle, głos mu zamarł w piersi i, nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchnął płaczem, a za nim Karolek.

— No, no, cicho chłopaki! cicho! nie płaczcie — powiedział żywo Niemiec, któremu żal się zrobiło dzieci. — Cicho, nie płakać, bo to nie przystoi chłopakom, płaczą tylko kobiety, dziewczęta i dzieci, ale nie chłopcy. No, cicho już — dodał po chwili— waszych ojców nie rozstrzelano, nikogo jeszcze dotąd nie rozstrzelono.

Zdziwieni chłopcy aż usta otworzyli i z niedowierzeniem spojrzeli na Niemca.

— A.... a pan.... mó....mówił, że już rozstrzelani — ozwał się wśród łkania Staś.

— Ja nie powiedziałem że już, tylko: gdy by byli rozstrzelani, to co? Ale nie są jeszcze!

Chłopcom oczy zaświeciły się z radości.

— Dziękujemy panu za tę wiadomość! — szepnęli obaj razem.

— O, jak się w domu ucieszą! — dodał Staś.

— Tak, tak, powiedzcie matkom, że ojcowie żyją jeszcze i nie płakać!

— Dziękujemy panu! — odpowiedział Karolek.

— A.... a.... proszę pana, gdzie oni są? — spytał nieśmiało Staś.

Lecz odpowiedzi nie otrzymał, bo w tej chwili na rynku rozległa się pobudka, i Niemiec nagle odwrócił się od nich i prędko pośpieszył ku żołnierzom, wśród których powstał wielki ruch. Chłopcy przez kilka chwil patrzeli za nim i na sprawnie szykujących się w szeregi żołnierzy.

— Poczciwy jakiś Niemiec — przerwał milczenie Karolek.

— Tak, nie taki, jak inni. Niech mu Bóg da zdrowie za to, co nam powiedział.

— Ciekawy jestem, co oni teraz będą robili? — rzekł Karol, wskazując na wojsko.

— A, o to mniejsza, niech robią, co chcą! Biegnijmy do domu oznajmić, cośmy się dowiedzieli — odpowiedział Staś i zawrócił ku domowi.

Chłopcy biegli teraz, ile sił starczyło, pragnąc, jak najprędzej podzielić się radosną wiadomością z rodziną.

— Szkoda tylko, że nam nie powiedział, gdzie ich umieścili? — mówił Karolek, biegnąc obok towarzysza.

— Szkoda, ale co robić? Nie miał czasu. Dzięki Bogu i za to, cośmy się dowiedzieli, resztę dowiemy się później. Będziemy szukali i pytali, aż się dowiemy. Przyjdź do mnie, a pójdziemy zaraz na miasto szukać dalej. Przyjdziesz?

— Przyjdę, przyjdę!

— Będę czekał na ciebie!

— A możeby dobrze było, by nam inni chłopcy pomogli?

— Gdyby chcieli?

— Czemuby nie chcieli? Będą chcieli i pomogą nam szukać.

— W takim razie, jak tylko w domu zawiadomimy, że nasi żyją wszyscy, zwołamy chłopców i będziemy szukali.

— Dobrze! Gdzie się zbierzemy?

— Gdzie chcesz: u mnie, u ciebie, lub gdzieindziej. Wszystko mi jedno, byle prędko — odpowiedział Staś.

— Niech będzie u ciebie.

— Dobrze i do widzenia, tylko prędko, pamiętaj, Karolku!

— Nie bój się, przecie tu o mego ojca idzie! Do widzenia!

Tu Karolek odłączył się od towarzysza, bo właśnie dobiegli do jego domu, i wpadł do mieszkania. Staś też po kilku jeszcze skokach znalazł się przed rozbitą bramą i, nie czekając, aż wbiegnie do pokoju, już w sieni na cały głos począł wołać:

— Żyją, mamo! Żyją jeszcze! Tatuś żyje!

Na ten głos drzwi raptem się otwarły i wszyscy wybiegli na spotkanie chłopca.

— Tatuś żyje! mamusiu! Nikt nie rozstrzelany jeszcze! — wołał Staś, ujrzawszy matkę i rodzeństwo.

— Żyją?! Nie rozstrzelani?! — wołano i dopytywano ze wszystkich stron.

— Tak, tak! wiem już teraz napewno!

— Dzięki Bogu! — z głębokiem westchnieniem ulgi rzekła pani Sławińska, a gdy Staś znalazł się w pokoju, otoczony

przez wszystkich — dodała: — Kto ci o tem powiedział? skąd wiesz?

Chłopiec opowiedział wszystko, co się dowiedział od pruskiego oficera. Nadzieja i otucha wstąpiła w stroskane serca rodziny.

— Kiedy jeszcze żyją, to może Bóg da, że ich nie stracą — ozwała się pani Sławińska.

— I ja tak myślę — dodał dziadek. — Bo gdyby chcieli ich rozstrzelać — mówił dalej — to byliby to zaraz uczynili. Bądźmy więc dobrej myśli.

— Chciałabym, ale zawsze ta niepewność o ich życie gryzie — powiedziała pani Sławińska i westchnęła. — Nie wiemy nawet, gdzie oni są? Może ich Niemcy wywieźli, albo też.... rzeczywiście już rozstrzelali, a tylko tak, dla zamydlenia ludziom oczu, powiadają, że żyją. Kto to może wiedzieć?

— E, nie mamo, ten Niemiec mówił prawdę, bo tak, jak on na nas patrzał i jak nam mówił, nie mówi nigdy człowiek, który kłamie. Ja wierzę, mamusiu, że nam prawdę powiedział. To nie był zwykły Prusak, to był inny człowiek. Doprawdy, mamo, inny człowiek i ja mu wierzę. Powiedział nam, że i on ma w domu takiego synka, jak ja.

On nie kłamał i nie oszukiwał nas, a wyraźnie kazał mamie powiedzieć, żeby mama się nie martwiła, bo tatuś żyje, i mama nie ma płakać.

— Mamusiu, ja też myślę, że ten Niemiec prawdę powiedział Stasiowi — wmieszała się Bronia. — Niech mamusia się nie martwi, tatuś nam wróci żywy i zdrów — mówiła dzieweczka i uwiesiwszy się u szyi matki, poczęła ją ściskać i całować, szepcąc: Nie martw się, mameczko, bo mnie tak smutno, tak smutno, gdy mama płacze. Mnie się zdaje, że mi chyba serce pęknie z żalu.... O mamusiu!....

I dziewczynka zalała się łzami serdecznemi.

— Dobrze, dziecino kochana, nie będę się martwiła, ani już płakać więcej nie będę, ale....

— Ale co, mamo?

— Byłabym spokojniejsza o ojca, gdybyśmy wiedzieli, gdzie on jest i co się z nim dzieje.

— I o tem, mamo, się dowiemy, bo zaraz przyjdzie tu Karolek i inni chłopcy i pójdziemy szukać tatusia i wszystkich uwięzionych. A jak dowiedzieliśmy się, że

żyją, tak też dowiemy się, gdzie ich Niemcy trzymają.

— Pójdziesz? pójdziecie? — zawołała Bronia i skoczyła ku bratu, a rzuciwszy się mu na szyję, poczęła go ściskać i całować, mówiąc: — Jakiś ty dobry, Stasiuniu! Jak chcesz, to i ja pójdę z wami. Dobrze?

— Nie, Broniu, ty zostań przy mamusi. Widzisz, jak ona zmartwiona, a potem....

Nie skończył zdania, bo w tej chwili do pokoju, bez zapukania nawet, jak bomba, wpadł Karolek z kilku innymi chłopcami, wołając:

— Niemcy wychodzą z miasta!

— Doprawdy?! — zawołali zdziwieni, i nagłem zjawieniem się chłopców w pokoju i przyniesioną przez nich wiadomością.

— Tak! Prusacy opuszczają miasto! Widzieliśmy na własne oczy. Kawalerya, piechota i armaty, wszystko ciągnie za miasto. Może sobie pojadą, skąd przybyli — wołali chłopcy jeden przez drugiego!

— Dałby to Bóg — ozwał się dziadek, a po chwili namysłu dodał: — Ale nie zdaje mi się, żeby oni zupełnie opuścili miasto, może tylko rozłożą się poza miastem, a i to byłoby dobrą rzeczą, bo zleźliby nam z karku.

Jakoż dziadek nie omylił się w swem przypuszczeniu, gdyż istotnie o zupełnem wycofaniu się z zajętego Kalisza Niemcy nie myśleli, opuścili tylko miasto i zajęli pozycyę poza jego obrębem, gdzie, w wypadku gdyby wojska rosyjskie na nich napadły, łatwiej mogliby się bronić, niż w mieście, tem bardziej, że nie ufali już mieszkańcom i obawiali się zemsty za to, co im zrobili tego rana. W polu, z dala od miasta, czuli się bezpieczniejszymi, dlatego wycofali się z Kalisza.

Wiadomość ta podziałała uspokajająco na wszystkich i wzbudziła nową nadzieję i otuchę.

— Może teraz prędzej się dowiemy, gdzie są nasi ukryci — rzekła pani Sławińska.

— Zaraz się będziemy starali o to, mamo, bo już idziemy — powiedział Staś, zabierając się do wyjścia.

— Czekaj, chłopcze! — zawołała matka. — Musisz najprzód coś zjeść. Przy tych kłopotach i zmartwieniu zupełnie zapomnieliśmy o śniadaniu, a tu już południe minło. Czekaj, dziecko, zaraz wam coś przyrządzę.

— Mnie się nie chce jeść!

— Nie, chłopcze, bez posiłku nie puszczę cię nigdzie. Porozmawiajcie sobie na chwilę, zanim ja przyszykuję cośkolwiek do jedzenie — odpowiedziała matka, a zwróciwszy się do Broni, rzekła:

— Chodź, Broniu, pomożesz mi, to będzie prędzej!

Dziewczynka powstała prędko z krzesła i wyszła z matką do kuchni.

— W jaki sposób zamierzacie czynić poszukiwania? — zapytał dziadek, wodząc oczyma po chłopcach. — Czy macie już plan gotowy?

Chłopcy trochę zakłopotani spojrzeli po sobie, nie mieli jeszcze żadnego planu, według którego należałoby im postępować, zresztą, nie mieli nawet czasu nad tem się zastanowić i naradzić.

— Nie, dziadusiu — odrzekł Staś. — Dotąd nic jeszcze nie obmyśleliśmy, bo i nie było kiedy, ale teraz możemy o tem pomówić, a dziadek nam posłuży swą radą.

— I owszem, nie tylko radąbym wam służył, ale sam z największą ochotą z wamibym poszedł.

— To doskonale, niech pan idzie z nami! — zawołał Karolek.

— Nie, Karolku, dziadek nie może pójść z nami za nic w świecie.

— Dlaczego nie?

— Staś ma słuszność, Karolku. Bez męzkiej opieki nie można pozostawić pani Sławińskiej i Broni. Ktoś więcej musi tu pozostać, więc choć radbym wam towarzyszył, nie mogę, chyba w tym wypadku — tu dziadek spojrzał na Stasia i dokończył: — gdyby Staś pozostał w domu.

— O, nigdy, dziadusiu! Dziaduś pozostanie z mamą i Bronią, a ja idę z nimi.

—Tak pewnie będzie najlepiej. Umówcież się teraz, jak macie postępować. Gdzież najprzód chcecie pójść?

— Może najlepiej byłoby do ratusza, tam prędzej ktoś może wiedzieć, gdzie są uwięzieni.

— Nie warto do ratusza, tam przed południem był mój stryj, bo jego syna zabrali, ale nic się nie mógł dowiedzieć. Bukowiński chory, pobity, nikt nic nie wie, a wszyscy się boją i w ciągłym żyją strachu — mówił jeden z chłopców.

— To gdzie pójdziemy?

— Zajrzyjmy do więzienia, czy tam ich nie trzymają? — rzekł Karolek.

— Prawda! — przywtórzyli inni — zajrzyjmy do więzienia.

— A jak w więzieniu ich nie będzie gdzie pójdziemy?

Nastało milczenie. Na razie chłopcy nie wiedzieli, gdzieby się w tym wypadku należało udać i w której stronie czynić poszukiwania.

— A może w opuszczonych koszarach ich trzymają? — rzekł jeden.

— Może, musimy i tam zajrzeć — potwierdzili inni.

— A gdy tam nie znajdziemy, to co? — spytał Stach.

— To wtenczas musimy dopytywać po mieście — odpowiedział Karolek.

— Strasznie dużo stracimy na tem czasu. Całe miasto oblecieć i przepytać, to nie bagatela — zauważył Staś.

— Ja nie widzę innej rady.

— Pozwólcie mnie teraz kilka słów powiedzieć — wmieszał się dziadek.

— Owszem, bardzo prosimy! — zawołali chłopcy.

— Plany wasze dobre, wykonacie je z łatwością, tylko musicie się podzielić na kilka grup po dwóch lub trzech chłopców w

każdej i gdy jedni pójdą do ratusza, drudzy niech idą do koszar, a inni do więzienia, inni zaś niech się dopytują u ludzi, mieszkających przy ulicach, które wychodzą na rynek. W ten sposób podzielicie pracę, pójdzie ona prędzej i łatwiej. W wypadku, gdyby jedni znaleźli uwięzionych, lub dowiedzieli się, gdzie są, by na darmo inni się nie trudzili bieganiem po mieście, musicie naznaczyć sobie zborne miejsce, w którem po pewnym czasie, nap., po godzinie wszyscy się zbierzecie i dowiecie się o rezultacie waszych poszukiwań. Jeśli przez ten czas nic się nie dowiecie, wtenczas znów umówcie się, co macie dalej robić, gdzie czynić poszukiwania. Co, nie myślicie, że tak byłoby dobrze?

— Tak, tak! to będzie najlepszy plan! — zawołali razem wszyscy chłopcy.

Poszukiwania.

Chłopcy podzielil się na trzy oddziały w każdym po trzech i oznaczyli punkt zborny, którym był plac przed kościołem na rynku, było to najdogodniejsze miejsce. Po godzinie postanowili tam się zebrać wszyscy, aby się przekonać, jakie mają rezultaty. Tak uplanowawszy poszukiwania, po posiłku, z którym Stach i Władek bardzo

prędko się załatwili, chłopcy bez dalszej straty czasu wybiegli z domu, by rozpocząć poszukiwania. Stachowi, jego bratu i Karolowi, stanowiącym jeden oddział, przypadło dowiadywać się w ratuszu, a ponieważ na to wiele czasu nie potrzebowali zużyć, więc postanowili, w wypadku, że w ratuszu nic się nie dowiedzą, przepytywać mieszkających przy tych ulicach, które wychodzą na rynek. Inni pobiegli do więzienia i do koszar.

Minęła godzina naznaczonego czasu, — chłopcy się zeszli przed kościołem i przekonali się, że niczego się nie dowiedzieli, bo nikt nie wiedział, gdzie uwięzionych Niemcy zaprowadzili i co z nimi uczynili. Jedni twerdzili, że ich za miastem rozstrzelali, inni zaś, że ich do Prus odprowadzili i tam będą trzymali we więzieniu aż do końca wojny, albo też osądzą na śmierć i powieszą.

— Co teraz zrobimy? — spytał Władek.

— Ja będę dopytywał się dalej u ludzi, może przecie natrafię na takiego, kto widział, jak Niemcy pędzili naszych, bo dotąd, ci wszyscy, których pytaliśmy, albo byli na rynku z innymi, albo siedzieli poza-

mykani w domach i nic nie wiedzą. Musimy dalej pytać, bo nie sposób, aby nikt nie widział Niemców.

— Może się boją powiedzieć, choć wiedzą? — rzekł Wicek.

— Być może, ale przecie Niemców już niema w mieście.

— Mogą znów przyjść.

— I to być może, ale teraz ich niema, więc pytajmy dalej, bo szkoda czasu, — powiedział Staś.

— Do roboty! Gdzie mamy pójść?

Staś wyznaczył ulice.

— Jak długo będziemy szukali?

— Ja myślę, że tak długo, dopóki się czegoś pewnego nie dowiemy. Nie będziemy daleko od siebie, to się łatwo porozumiewać możemy — powiedział Stach.

Chłopcy znów ochoczo rozbiegli się po mieście i zaczepiając na wyznaczonych sobie ulicach każdego przechodnia, dopytywali, czy nie wie, gdzie Niemcy zaprowadzili uwięzionych, lub czy nie wie, którą ulicą ich prowadzili. Do pytających dołączyło się wnet wielu innych chłopców, a nawet i dziewcząt i wkrótce w całem mieście gro-

mada dzieci poszukiwała porwanych przez Prusaków ludzi.

Szukano i dopytywano już długo; słońce zbliżało się ku zachodowi, a oni nawet na ślad więzionych nie natrafili.

Staś, Władek i Karolek przepytali całą ulicę i sąsiedniej połowę i znaleźli się poza miastem, ale też bez rezultatu. Zmęczeni, zmartwieni i prawie zniechęceni odeszli cokolwiek w pole i wyciągnęli się na ziemi, by wypocząć.

— Tyleśmy się nałazili, i wszystko napróżno! — ozwał się zniechęconym głosem Karolek.

— Może ini będą szczęśliwsi od nas — odpowiedział Staś.

— Nie myślę, bo daliby nam znać. — Ale patrzcie, tam na górce, przy wiatrakach rozłożyli się Niemcy. Cały obóz! Widzicie? — powiedział Karolek i zerwał się z ziemi.

— Tak, widać ich tam. Boją się być w mieście po tem, co zrobili.

— Wiecie co? Podejdźmy ku nim, kto wie? może właśnie tam są nasi ojcowie i inni.

— Chodźmy! — zawołali razem Staś i Władek, zrywając się na nogi.

— Chodźmy tylko żytem, aby nas nie dostrzegli — powiedział Staś.

Zagadkowe doły.

Chłopcy weszli w zboże i powoli, ostrożnie, często na czworakach, poczęli iść ku widniejącym na wzgórzu wiatrakom i rozłożonemu wpobliżu nich niemieckiemu obozowi. Ponieważ posuwali się wolno, więc zabrało im to sporo czasu, zanim dopełzli pod wzgórze.

— Jak teraz dalej pójdziemy, zboże się skończyło, wzgórze z tej strony gołe zupełnie, zobaczą nas — szepnął Władek, leżąc na brzuchu, razem z innymi i wychylając tylko cokolwiek głowy z żyta.

— Ct! żołnierz stoi na straży! — szepnął Staś.

— Gdzie? gdzie? — dopytywali chłopcy.

— Tuż przed nami.

— O, widzę! Patrzy ku miastu — szepnął Władek.

— A tam dalej drugi — dodał Karolek.

— Uciekajmy! — szepnął Władek.

— Tylko ostrożnie, by nas nie dojrzeli! — przestrzegał Staś.

Chłopcy, leżąc na brzuchach, poczęli się czołgać w tył, aż znaleźli się w bróździe,

poczem chyłkiem biegli do końca łanu, — gdzie się zatrzymali, przykucnąwszy za żytem.

— Co zrobimy? — szepnął Karolek.

— Tędy się nie dostaniemy do wiatraków musimy obejść i z przeciwnej strony próbować — odpowiedział Staś.

— Tam są krzaki, to łatwiej się będziemy mogli ukryć — dodał Karolek.

— Ale bądźcie ostrożni, by nas nie zobaczyli! — przestrzegał Staś.

— Dobrze!

Chłopcy zaczęli okrążać wzgórze, starając się przedostać najprzód do pobliskiego sadu, za którym widać było zabudowania gospodarskie, a potem sadem, lub obok niego na drugą stronę wzgórze. Po niedługim czasie szczęśliwie dotarli do ogrodzenia.

— Co to może być — szepnął Staś, zatrzymując się i wskazując na kilkanaście podłużnych i świeżo wykopanych dołów wzdłuż płotu, przy sadzie, w odległości kilku stóp od niego.

Chłopcy zbliżyli się ku dołom i poczęli je oglądać. Znać było, że niezbyt dawno musiały być wykopane, nie były głębokie, zaledwie trzy stopy najwyżej były wykopane w ziemi.

— Kto je mógł wykopać i na co? — zapytywali się wzajemnie.

— Może ci ludzie z chałupy chcieli w nich zakopać swoje rzeczy — powiedział Władek, któremu nagle przypomniało się, jak oni w ogrodzie zakopali kosztowności.

— E, nie zdaje mi się, bo dlaczegoby kopali aż.... siedemnaście dołów i takich płytkich — mówił Staś.

— Może to na ziemniaki?

— Ziemniaków przecie jeszcze niema, zresztą na ziemniaki nie kopią takich dołów, tylko okrągłe i daleko większe. Te zaś wyglądają, jakby to były groby — powiedział Karolek.

Chłopcy zbledli.

— Może to Niemcy wykopali? — szepnął Staś.

— Może, ale dla kogo?

Tu trzej przyjaciele jeszcze więcej pobledli, wszystkim bowiem błyskawicą przeleciała myśl po głowie, że jeśli to Niemcy wykopali te doły, podobne do cmentarnych grobów, to już nie dla kogo innego, tylko dla ich ojców, i serca poczęły im gwałtownie walić w piersiach. Spojrzeli na siebie i bez mowy zrozumieli się.

— To dla nich! — szepnął Staś i bezwiednie skierował swój wzrok na podwórze ku chacie. Nagle skulił się, spojrzał na towarzyszów i położył palec na usta na znak milczenia, a drugą ręką dawał znać, by Władek i Karolek kucnęli, co też oni natychmiast uczynili.

— Co to jest? — szepnęli.

— Przed domem i na drodze odwachy — szepnął Staś. — Jeden stoi przy drzwiach, drugi przechadza się pod oknami, a trzeciego widziałem we wrotach. Wszyscy mają karabiny z nadzianymi bagnetami, widocznie pilnują kogoś.

— To napewno naszych ojców? Trzymają ich w tym domu! — powiedział Karol i wzruszony chciał się podnieść i spojrzeć na podwórze, lecz silnem pociągnięciem za połę kurtki Stach przytrzymał go.

— Nie podnoś się, bo mogą nas dojrzeć! — szepnął.

— Musimy przekonać się, czy tam są nasi ojcowie — mruknął Karolek.

— To się rozumie, ale musimy to zrobić ostrożnie.

Nastała chwila milczenia, którą pierwszy przerwał Karol:

— Posuńmy się bliżej ku chałupie, bo stąd nic nie zobaczymy — szepnął zniecierpliwiony.

— Najprzód zobaczymy, czy tu w pobliżu niema straży.

Pojmani.

Chłopcy ostrożnie na czworakach zaczęli zbliżać się do płota, przy którym rosły chwasty i krzaki różne. Doczołgawszy się do niego, zapuścili wzrok do sadu.

— Za chałupą widać żołnierza z karabinem. Bardzo trudno go rozpoznać wśród zieleni sadu, zdradził go tylko połyskujący w słońcu bagnet — szepnął Stach.

— Gdzie on? — zapytali Władek i Karolek.

— Tam! patrzcie trochę na lewo, o kilka kroków od domu.

— O, tak! widzimy! Stoi jak tyczka, ani się nie ruszy.

— Wleźmy dalej do ogrodu! — szepnął Karolek.

— Czekaj! musimy sobie zrobić otwór w płocie.

Płot był, jak zwykle, grodzony, chłopcy ostrożnie poczęli odsuwać i wyciągać suche patyki. Wkrótce zrobili dziurę, przez którą

bez wielkiego trudu każdy z nich mógł się przeczołgać.

— Ja pierwszy wlezę — szepnął Staś.

— Ja za tobą — odpowiedział Karol.

— Nie, ja będę drugi! — mruknął Władek.

— Poczekajcie! wszyscy trzej naraz nie możemy tam iść, jeden musi tu zostać i pilnować. Władek, zostań tutaj i uważaj, by nam z tyłu Prusacy nie zaszli.

Władkowi nie bardzo się podobał ten rozkaz brata, ale nie odpowiedział nic i został. Stach i Karolek wczołgali się do sadu i, leżąc cicho na brzuchach, nasłuchiwali uważnie, czy z domu nie doleci ich jaki głos. Ale wszędzie panował spokój, przerywany jedynie ćwierkaniem wróbli i od czasu do czasu parsknięciem konia, którego jednak chłopcy nie mogli dojrzeć.

— Może nikogo niema w domu? — szepnął Karolek.

— Nie, tam ktoś być musi, bo przecieby Niemcy próżnego domu nie pilnowali. Tam są nasi! Czekajmy tylko cierpliwie, a zobaczysz, że mam słuszność.

Znów minęło kilka minut spokojnie. Chłopcom zaczęło się nudzić i Karolek począł się czołgać ku podwórzu, mając nadzieję, że od strony podwórza, na które wychodziły drzwi od sieni chaty, prędzej kogoś może ujrzy. Za nim poczołgał się Stach, a za tymi wlókł się na brzcuhu Władek, któremu znudziło się być samemu, opuścił więc swoje stanowisko i wlazł do ogrodu za towarzyszami. Było to wielkiem nieszczęściem dla chłopców, gdyż w chwili, kiedy właśnie doczołgali się w takie miejsce, które nadawało się znakomicie na kryjówkę i do obserwacyi, bo doskonale z niego widać było cały front chaty, nagle za płotem rozległo się gwizdnięcie i z sieni wybiegło kilku żołnierzy.

— Tutaj! — zagrzmiał głos z poza płotu.

Chłopcy struchleli i przycisnęli się do ziemi.

W tej chwili o kilkanaście kroków za nimi przebiegło kilku żołnierzy ku temu, co stał za płotem przy dziurze, zrobionej przez chłopców.

— Co? — spytali, stanąwszy przy płocie.

— Widzicie ich tam, leżą na brzuchach! — odpowiedział ten sam głos.

Za krótką chwilkę żołnierze podnieśli z ziemi za kołnierze trzech chłopów, jak zająców.

— Co to, na cudze jabłka przyszliście?— zapytał jeden czystą polszczyzną. — Wartoby was porządnie otrzepać za to, smyki jakieś!

Przerażeni chłopcy, usłyszawszy polską mowę, mimo przykrego położenia, odzyskali ducha, nadzieja wstąpiła im w serca. „Kiedy po polsku mówi, to pewnie Polak i nic nam złego nie zrobi" — pomyśleli sobie, i Staś spojrzawszy na mówiącego, — rzekł:

— My nie kradniemy cudzych jabłek, nie jesteśmy złodziejami!

— No, to czemu się włóczycie po cudzych sadach? Czego tu chcecie?

Chłopcy spojrzeli po sobie, czy powiedzieć, po co tu przyszli, czy nie.

— Powiedz, Stachu! — ozwał się Karol.

— My szukamy naszych ojców — rzekł Staś.

— Waszych ojców? A gdzież oni są?

— Właśnie, że nie wiemy i szukamy ich.

— Czy uciekli z domu?

— Nie, tylko Prusacy ich zabrali z pod ratusza, i nie wiemy, gdzie ich zawiedli. Czy oni tu są w tym domu?

Żołnierze, którzy nie rozumieli po polsku zaczęli się pytać tego, który rozmawiał z chłopcami, czego chcą te dzieci. Gdy im przetłomaczył odpowiedzi, żołnierze spojrzeli po sobie znacząco.

— Niech nam pan powie, czy tu są nasi ojcowie i inni mężczyźni, bardzo prosimy — ozwał się Karolek.

Żołnierz chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem nadszedł oficer, a ujrzawszy chłopców, począł dopytywać, skąd się tu wzięli i czego chcą. Wysłuchawszy opowiadania żołnierzy, wydał rozkaz, i natychmiast kilku z nich otoczyło chłopców i wyprowadziło na drogę.

— Gdzie nas prowadzicie? — spytał Karolek, zaniepokojony.

Żołnierz nie odpowiedział nic, tylko wskazał na wiatraki, widniejące w dali na wzgórzu, i pociągnął ręką naokoło szyi.

— Powieszą nas! — szepnął Karolek i zbladł.

— Uciekajmy! — ozwał się drżącym głosem Władek.

— Jak, kiedyśmy otoczeni.

— Milczeć! nie wolno wam rozmawiać! — ostro powiedział jeden z żołnierzy łamaną polszczyzną.

Chłopcy umilkli i ze zwieszonemi głowami postępowali między żołnierzami. Doszedłszy do jednego z wiatraków, w którym na pierwszym piętrze znajdowała się mała izdebka, gdzie zwykle młynarz sypiał, żołnierze zamknęli w niej chłopców i odeszli, zostawiwszy tylko jednego na straży.

— Co teraz będzie z nami? — szepnął po krótkim milczeniu Karolek.

— Powieszą nas, — na pół z płaczem odpowiedział Władek.

— E, pleciesz — odrzekł Staś. — Za coby nas mieli powiesić?

— Czy nie widziałeś, jak żołnierz pokazywał, że będziemy powieszeni? — powiedział Władek.

— Jeżeli doprawdy nas powieszą, to tylko z twojej winy.

— Jakto z mojej winy? Co ja winien? — zapytał rozdrażnionym głosem Władek.

— Tak, bo gdybyś się nie był czołgał za nami, a pozostał na straży, byłbyś nas o-

strzegł, że Niemiec się zbliża, i bylibyśmy uciekli, albo się gdzie ukryli.

Władek nie odpowiedział ani słowa, widział, że zarzut słuszny i nic na swoją obronę powiedzieć nie może, spuścił więc głowę i siedział zamyślony i strapiony, aż towarzyszom żal się zrobiło chłopca, więc nie czyniąc mu więcej wymówek, które i tak na nicby się w ich położeniu nie zdały, poczęli się nardzać, jakby wybrnąć z tego kłopotu. O ucieczce mowy nie mogło być, najprzód dlatego, że byli pilnowani, a następnie, że byli zamknięci, a z izdebki wiodły tylko jedne drzwi. Po dłuższej rozwadze, przyszli do przekonania, że nic sobie na razie poradzić nie mogą, chyba dopiero w nocy mógliby próbować uciec okienkiem, gdyby niespostrzeżenie udało im się niem wydostać z izdebki, w dzień była to rzecz zgoła niemożliwa, bo natychmiast dostrzegliby ich Niemcy, którzy się tam wszędzie kręcili. Postanowili więc czekać nadejścia nocy, a tymczasem rozmową starali sobie skrócić czas. Rozmowa jednak nie bardzo się kleiła, często się urywała nagle, bo każdy z nich miał co innego na myśli, niż to, o czem chciał mówić. Najwięcej rozmyślali o matkach i

rodzeństwie w mieście, które się tam ich długą nieobecnością pewnie niepokoją bardzo, ale i tu nie było żadnej rady, ani sposobu zawiadomienia ich, co się z nimi stało. Chłopcy więc, to rozmyślając, to rozmawiając i czyniąc najdziwaczniejsze projekty do ucieczki, siedzieli w izdebce i czekali nadejścia nocy.

Niemcy bombardują miasto.

Tymczasem słońce powoli zbliżało się ku zachodowi i dzień się miał ku końcowi, gdy nagle, około godziny szóstej, rozległ się ogłuszający huk armatni, ziemia zadrżała, wiatrak się wstrząsnął i małe szybki z okienka komórki, gdzie siedzieli chłopcy, z brzękiem wypadły z obramowania i rozbiły się w drobne kawałeczki na podłodze.

Chłopcy zerwali się i osłupiałym wzrokiem przez chwilę patrzeli na siebie.

— Bitwa! — szepnął Staś.

— Pewnie wojska rosyjskie napadły Niemców — dodał Karolek.

— Oh, żeby ich potłukli! — zawołał Władek.

— Cicho, nie krzycz, bo cię Niemiec może usłyszeć! — przestrzegał Staś brata.

— Zobaczmy okienkiem, może ujrzymy, jak się biją — powiedział Karolek.

Chłopcy skoczyli do wybitego okienka, lecz nic ujrzeć nie mogli, wychodziło ono bowiem na przeciwną stronę od miasta.

— Nic nie widać! — szepnął zniechęcony Stach.

— Tylko kilkunastu żołnierzy stoi i patrzą w stronę miasta — dodał Karol. — Pewno w mieście, albo z drugiej strony niego są Rosyanie.

— A może oni do miasta strzelają? — z pewnym niepokojem zauważył Staś.

— A może!

— Toby było okropne!

— I nic nie możemy widzieć! Co tam robią mama, Bronka i dziaduś? Ja się okropnie o nich boję.

— I ja też o moich!

— Czekajcie, ja się zapytam tego Niemca, który nas pilnuje! — powiedział Władek i zaraz zawołał: — Hej, panie żołnierzu! Czy to wasi do Rosyan, czy do miasta strzelają?

Żołnierz, stojący tuż pod oknem obok drzwi, podniósł głowę i krzyknął po niemiecku, nakazując milczenie.

— Nie chce nam powiedzieć!

— Może to bitwa z Rosyanami?

— Ale też walą, aż się ziemia i wiatrak trzęsą!

Rzeczywiście strzały armatnie odzywały się jeden za drugim, a od ich huku ziemia drżała i wiatrak się trząsł.

— Coraz gęściej walą! — szepnął Staś.

— Co będzie z nami, jeśli jaka kula od Rosyan, przeznaczona Niemcom, gruchnie w wiatrak? — spytał Karolek, patrząc na towarzyszów.

Lecz próżna to była obawa, gdyż Niemcy nie strzelali do wojska rosyjskiego, a bombardowali miasto.*) Bez ostrzeżenia mieszkańców o mającem nastąpić bombardowaniu, Niemcy poczęli ostrzeliwać bez najmniejszego powodu nieszczęśliwe miasto, które od huku armat drżało w swych posadach. Kule jedna po drugiej padały na miasto, burząc domy i grzebiąc w ich gruzach spokojnych mieszkańców, którzy tego nietylko się nie spodziewali, ale nawet nie przypuszczali, by Prusacy mogli się odważyć na bombardowanie miasta, które im nic

*) Według opisów naocznych świadków.

nie zawiniło. To też, na odgłos pierwszych strzałów, mieszkańców ogarnęło wielkie zdziwienie, a gdy spostrzegli, że strzały wymierzone są na miasto, że kule rozwalają domy, wpadli w panikę. Popłoch, jaki wśród nich powstał, jest niemożliwy do opisania. Z krzykiem i płaczem ludzie poczęli się rozbiegać na wsze strony i kryć, gdzie kto mógł.

Wreszcie strzały umilkły. Kto mógł począł uciekać z miasta, olbrzymia jednak większość mieszkańców pozostała w niem, sądząc, że przecie może już po tem bombardowaniu Niemcy zaprzestaną dalszego znęcania się nad Kaliszanami. Lecz omylili się wszyscy, po ciszy nocnej bowiem, we czwartek z rana, znów rozległ się huk armatni i kule poczęły się sypać na miasto, jak grad z chmury. Szrapnele pękały w powietrzu, szerząc zagładę i zniszczenie. Po kilkunastu strzałach nastała długa cisza, denerwująca ludzi nie mniej od huku armat i pękania szrapneli. Nikt nie wiedział, co zapowiada ta cisza, czy już spokój, czy tylko jest chwilą, po której znów grzmot dział się rozlegnie. Wielu ciekawych powychodziło z kryjówek na ulice miasta, by się

przekonać, jakie zniszczenie poczyniło bombardowanie, gdy najniespodzianiej ozwały się strzały karabinowe: to Prusacy gromadkami przebiegali ulice i na oślep strzelali do okien domów, powiększając w ten sposób liczbę ofiar.

Popłoch niewypowiedzlany ogarnął mieszkańców, poczęto się kryć po piwnicach i dziurach, na ulicy nikt się nie śmiał pokazać, obawiając się kuli z karabinem czyhającego nań Prusaka. Tak minął dzień i noc i nadszedł piątek, dzień najstraszniejszy. Przed południem wojsko pruskie wkroczyło do miasta; o godzinie drugiej popołudniu rozpoczęła się straszna kanonada z karabinów maszynowych. Żołnierze ustawili te śmiercionośne narzędzia najprzód po jednej stronie ulicy i strzelali z nich na oślep do okien po drugiej stronie, a gdy już wystrzelali wszystkie okna z tej strony, przenosili potem armatki na drugą stronę i znów strzelali do poprzedniej strony. Po tej strzelaninie, na chodnikach chodzić można było po gilzach ładunków, jak po gęsto rozsypanym grochu. Setki ludzi, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci padło trupem. Na ulicach, prócz Prusaków, nie śmia-

ła się pojawić żywa dusza z mieszkańców nieszczęśliwego miasta. O godzinie piątej po południu nagle z okien ratusza począł się wydobywać gęsty, czarny dym i leniwie wzbijał się w górę. Płonął ratusz, podpalony przez Niemców. Na szczęście, nie było wiatru, i gmach ten spłonął, nie szerząc dalej pożogi.

Nastała noc, straszna, okropna. Cisza grobowa zaległa miasto, mieszkańcy, poukrywani w piwnicach, z lękiem wyczekiwali, czy znów nie ozwie się ryk armat i nie posypią się kule na nich. Jakoż koło dziewiątej godziny ziemia się zatrzęsła od huku dział, i co pół minuty leciały kule i szrapnele, szerząc straszne zniszczenie. Trzęsły się domy, pękały szyby, z brzękiem rozsypując się w drobniusieńkie kawałeczki na podłodze lub na chodnikach ulic; waliły się gruzy z dachów i murów, pociski przebijały mury na wylot, a pękając we wnętrzu domów, wyrywały drzwi, okna, wysadzały dachy i w perzynę obracały domostwa, zasypując je gruzami i obłokami duszącego pyłu.

W piwnicach, gdzie poukrywali się pozostali w mieście ludzie, rozgrywały się straszne sceny. Przerażone dzieci płakały, dar-

mo je tuliły i uspakajały matki; wśród płaczu dzieci słychać było słowa modlitwy, którym z dala wtórował ryk armat, mieszający się z hukiem pękających pocisków, z trzaskiem walących się ścian i z brzękiem tłuczonego szkła. Ludziom zdało się, że to już koniec świata, że nikt z nich żyw nie wyjdzie; w panicznym strachu, płaczu i lamencie polecano się Bogu i każdej chwili wyczekiwano ostataniego momentu życia.

Straszna ta i jedyna chyba w dziejach wojennych kanonada, skierowana na bezbronne i niewinne miasto, trwała aż do samego świtu.

Nagle huk armat ucichł, w mieście zapanowała cisza, przerywana tylko sykiem płomieni i trzaskiem palących się domów. Na pół uduszeni w piwnicach i kryjówkach, odetchnęli swobodniej, nikt jednak nie śmiał wychylić się z ukrycia, nie będąc pewny, czy nie spotka się z kulą karabinową, czyhającego nań Prusaka, jak dnia poprzedniego, siedziano więc dalej w kryjówkach i wyczekiwano, co znów Prusacy zrobią. Nie czekano długo, bo z brzaskiem dnia oddział żołnierzy wszedł do miasta i Prusacy zaczęli siłą wyciągać z piwnic wystraszonych

ludzi. Znów powstał płacz, lamenty i narzekania. Dzieci, niewiasty wieszały się u szyi ojców, braci, których zabierali Prusacy.

Spędzona gromada ludzi różnego wieku i stanu, przerażona stała na ulicy, otoczona żołnierzami z karabinami, najeżonymi bagnetami. Nagle rozległa się komenda, żołnierze stanęli gotowi do pochodu.

— Ręce do góry i naprzód marsz! — zabrzmiał rozkaz, zwrócony do otoczonych wojskiem ludzi.

Wystraszeni jeńcy podnieśli ręce do góry ponad głowy i ruszyli razem z wojskiem poza miasto. Pędzono ich długo, komu ręce omdlały, lub kto nie mógł nadążyć, tego żołdacy brutalnie popędzali kolbami. Wszystkich tych nieszczęśliwych zapędzono daleko od miasta i uwięziono w koszarach straży pogranicznej na kilka godzin. Tam ich podzielono na dziesiątki i podobnie, jak przed ratuszem, zapowiedziano, że co dziesiątego rozstrzelają.

Pod wieczór w koszarach zjawiło się kilkunastu żołnierzy, którzy otoczyli skazanych na rozstrzelanie i kazali im opuścić koszary. Zaledwie wyszli na podwórze,

Prusacy kazali im ująć łopaty i, odprowadziwszy pod najbliższy mur, powiedzieli im, by każdy dla siebie we wskazanem miejscu wykopał grób. Skazańcy pobledli i poczęli ociągać się z wykonaniem rozkazu, Prusacy ociągających się kolbami zmusili do kopania dołów. Gdy już doły były wykopane, rozkazano każdemu z jeńców stanąć przy swoim grobie, gdy to uczynili, na przeciw nich uszykował się pluton żołnierzy. Wszyscy z zimnym spokojem wyczekiwali, skoro oficer wypowie ostatnie słowo komendy do strzelania, lecz on zwłóczył. W ten sposób ludzie ci stali przez pół godziny, patrząc w lufy karabinów. Nagle zjawił się przed szeregiem inny oficer i oznajmił czekającym na śmierć, że rozstrzelanie odłożono do rana, poczem wszystkich znów wpędzono do koszar, gdzie ich trzymano całą noc, nie dając nawet wody do picia. O godzinie siódmej rano zjawił się w koszarach oficer i oznajmił, że z łaskawości cesarza Wilhelma wszyscy są wolni i mogą wrócić do domów, dodał też, że jest przekonany, iż każdy z obecnych poznał dobrą wolę cesarza i będzie mu wdzięczny za ułaskawienie, na które wcale nie zasłużył.

Wypuszczony tłum rzucił się do miasta i z miast w pole. Kto jeszcze żył, uciekał, gdzie oczy niosły, pragnąc jak najdalej być od pruskiej łaskawości. Kto nie mógł uciekać, tego krewni lub znajomi na rękach nieśli, albo na ręcznym wózku wieźli; widziano, jak niesiono na rękach osiemdziesięcioletniego księdza Wiktora z kościoła Reformatów, który ze starości i z osłabienia nie mógł iść o własnej sile. Zniszczone przez kule i trawione przez ogień miasto w jednej chwili opustoszało, zdało się, że to jakaś straszna i okropna epidemia nawiedziła nieszczęśliwe miasto, zabrała z niego życie, a zostawiła trupy i martwotę.

Na zgliszczach.

W czasie, gdy opisane wypadki działy się w mieście, trzej nasi chłopcy siedzieli uwięzieni w owej izdebce, z której prawie ani na chwilę nie wypuszczali ich Prusacy, nie wiedzieli więc nic o tem, co się stało w mieście, gdyż pilnujący ich żołnierze wszelkie pytania zbywali milczeniem. Wreszcie po trzech dniach więzienia, wypuszczono chłopców i kazano im natychmiast iść do domów.

— Miasto się pali! — krzyknął Staś, gdy chłopcy wybiegli z izdebki na dwór i spojrzeli ku miastu!

— W naszej stronie pożar! Może nasz dom się pali — odpowiedział Karolek i pędem puścił się ku miastu, a za nim biegli Staś i brat jego.

Tymczasem ponad całem miastem wiły się kłęby czarnego dymu, przez które buchały czerwone płomienie. Pożar, nie gaszony przez nikogo, z każdą chwilą rozszerzał się coraz bardziej, huk, syk i szum płomieni dolatywały wyraźnie uszu chłopców. Biegli też, co sił w nogach starczyło, a im więcej się zbliżali, tem szum rozszalałego żywiołu coraz więcej był wyraźniejszy, a podobny do szumu wzburzonych fal morskich.

Wreszcie dobiegli do miasta, przelecieli kilka ulic, nieobjętych jeszcze pożarem i wpadli na ulicę, przy której stały domy ich rodziców. Lecz tu zaraz na wstępie morze ognia zatamowało im drogę: z obu stron ulicy gorzały domy, i niepodobieństwem było przedrzeć się przez ogień.

— Nasz dom w płomieniach! O, Boże, co się stało z mamą, z Bronką i z dziadkiem?!

— zawołał Staś i, nie bacząc na wielkie niebezpieczeństwo, które mu groziło, rzucił się w ulicę, a za nim towarzysze.

Nie przebiegł jednak ani dziesięciu kroków, gdy gęsty dym zaparł mu oddech, a żar, zdało się, palił mu twarz, ręce i całe ciało. Krztusząc się od dymu i zasłaniając oczy, chłopiec stanął na chwilkę, by tchu złapać.

— Nazad, nazad! — zawołał Karolek i pociągnął przyjaciela .— Uciekajmy, bo nas płomienie ogarną, albo się dymem udusimy! — wołał.

Chłopcy zawrócili z powrotem, a wydostawszy się z niebezpieczeństwa, przystanęli trochę, by odetchnąć. Wprawdzie i tutaj wiatr pędził kłęby czarnego i gryzącego oczy dymu, jednak nie było płomienia, i chwilami mogli zaczerpnąć świeżego powietrza do płuc.

— Tędy się nie dostaniemy do mieszkania, musimy oblecieć z tyłu od strony ogrodów — powiedział w końcu Staś.

Chłopcy bocznemi uliczkami po kilku minutach szczęśliwie się przedostali na podwórza domów. I tu dym gryzł w oczy, jednak nie było takiego niebezpieczeństwa.

jak na ulicy. Ponieważ najprzód znaleźli się na podwórku rodziców Karolka, więc wpadłszy na nie, poczęli wołać i nasłuchiwać, czy się kto nie odezwie. Żaden jednak głos im nie odpowiedział, widocznie nikogo już tu nie było.

— Niema nikogo! — zawołał Staś. — Biegnijmy do nas! — dodał i skoczył ku płotowi, który jednym susem przesadził, wpadł na drugie, potem na trzecie podwórze, przeskoczył połamany płot i znalazł się na własnem podwórzu, a tuż za nim Władek, bo Karolek został na miejscu.

Chłopcy stanęli, a oczom ich przedstawił się okropny widok: pół ściany domu leżało w gruzach,a w drugiej połowie widniała olbrzymia dziura, którą buchał płomień i waliły się kłęby dymu. Wnętrze pełne było ognia, szczególniej gorzała górna część domu, widocznie pożar rozpoczął się od dachu, bo na pierwszem piętrze, sień i pokój, znajdujące się w nierozwalonej części ściany, zdały się nie być objęte ogniem.

— Mamo! mamo! Broniu! dziadku! — poczęli wołać chłopcy i bez namysłu rzucili się ku sieni.

Pierwszy biegł Staś, za nim zdążał Władek. Dobiegłszy do drzwi, Staś stanął na chwilę oddychając prędko i głęboko, by przesycić tlenem płuca, wreszcie raz jeszcze zaczerpnął powietrza do piersi i rzucił się do wnętrza. Dym napełnił mu oczy i nozdrza. Chłopiec począł się krztusić, mimoto, zdołał jednak zatrzymać dech, lecz oczy musiał zamknąć. Postępując po omacku wśród dymu, nagle potknął się o coś i upadł. Otworzył oczy, i w tej samej chwili okrzyk zgrozy i przerażenia wydarł mu się z piersi: na podłodze, tuż obok drzwi, wiodących do piwnicy, leżał dziadek, zimny, zesztywniały.

— Dziadusiu! — krzyknął chłopiec, dusząc się od dymu i poruszając martwem ciałem. — Dziadusiu, o, dziadusiu!

Lecz martwe usta nie mogły już odpowiedzieć, odpowiedzią na to wołanie był syk płomieni i trzask walącego się sufitu, który już ogień przepalił.

Staś spostrzegł, że nie może bez narażenia swego życia dłużej pozostawać w sieni, więc powstawszy na nogi i zapierając oddech, uchwycił martwe ciało dziadka i po-

czął je wlec na podwórze, we drzwiach napotkał krztuszącego się brata.

— Pomóż, Władziu! — szepnął.

— Co to jest? Kto to? — spytał Władek, wsadzając pięście w oczy, bo go dym gryzł.

— Boże! to dziadek! — krzyknął nagle, spostrzegłszy, kogo Staś wlecze.

Obaj chłopcy wynieśli ciało na podwórze, położyli je na ziemi, pod drzewem z dala od palącego się domu i teraz dopiero przypatrzyli się dziadkowi. Staś klęczał na ziemi i, ująwszy rękę dziadka, począł szukać pulsu. Darmo jednak szukał, ręka była zimna i skostniała.

— Już on nie żyje! — szepnął po chwili, i łzy puściły mu się z oczu.

— Ale mama, mama i Bronia, Stasiu! Gdzie one? — nagle zawołał Władek.

— Bóg wie, co się z niemi stało. Kiedy dziadek nieżywy, może i one tam gdzie martwe leżą.

— Chodźmy szukać! — z płaczem zawołał Władek.

Chłopcy podeszli znów ku sieni, napełnionej dymem.

— Pozostań tutaj, ja sam wejdę najprzód — powiedział Staś i, zawiązawszy

sobie nos i usta chusteczką, począł, jak przedtem oddychać przez kilka chwil głęboko i prędko, wreszcie zaczerpnął raz jeszcze świeżego powietrza do piersi, ile tylko mógł, wstrzymał oddech i skoczył do sieni.

Po minucie czasu, która stojącemu przed domem Władkowi wydała się całym wie-kiem, Staś wybiegł z sieni i trąc oczy, oddychał prędko.

— Znalazłeś co? — spytał Władek.

— Zmacałem rękami całą podłogę w sieni, ale nikogo nie namacałem, — w sieni ich niema.

— Może będą w którym z pokojów.

— Może, ale jak się tam dostać?

Istotnie do wnętrza domu nie podobieństwem było dotrzeć, przedstawiało ono morze ognia.

— Czekaj, kto wie, czy one nie skryły się do piwnicy? Dziadek leżał tuż koło drzwi, może one tam są — rzekł nagle Staś.

— Pójdźmy zobaczyć.

— Dobrze, zawiąż sobie chusteczką nos i usta i nabierz zapasu powietrza do płuc, choć może to zbyteczne, gdyż nie myślę, by w piwnicy był dym.

Chłopcy poczęli oddychać głęboko, poczem ruszyli ku sieni. Wpadłszy do niej

jednym skokiem, dopadli drzwi, podnieśli je i w kilka sekund byli już we wnętrzu. Ku wielkiej swej radości spostrzegli, że dymu tam prawie nie było, zaledwie czuć go było, otworzyli więc oczy i przenikając wzrokiem ciemności, poczęli wołać:

— Mamo! mamusiu! Broniu!

Lecz tylko echo własnych ich słów było odpowiedzią na to wołanie. W piwnicy panowała ciemność, chłód i grobowe milczenie.

Przez chwilę chłopcy pilnie nasłuchiwali, czy nie usłyszą odpowiedzi, lub czy uszu ich nie doleci, jakie westchnienie albo choćby i słaby oddech, coby znamionowało, że w podziemiu ktoś więcej z żyjących, oprócz nich, się znajduje, ale grobowej ciszy nic nie przerwało, tylko z góry dochodził szmer, podobny do mruczenia, a od czasu do czasu rozległ się głuchy huk od spadających na podłogę belek i gruzów.

— Mamo! Broniu! Czy tu jesteście? — powtórzyli znów wołanie.

Ale i tym razem nikt się nie odezwał.

— Może ich tu niema? — ozwał się po chwili nasłuchiwania Władek.

— Może być, ale może też być, że leżą gdzie w kącie albo nieprzytomne, albo martwe. Ciemno, jak w lochu, okno, wychodzące na podwórko, zawalone gruzami.

Chłopcy postąpili kilka kroków przed siebie i znów poczęli wołać daremnie. Tymczasem otwartemi drzwiami poczęły się cisnąć kłęby dymu do piwnicy.

— Trzeba drzwi zamknąć, bo inaczej napakuje się tu dymu, i będziemy musieli uciekać, nie przeszukawszy piwnicy — rzekł Staś i skierował się ku wyjściu.

Zaledwie zbliżył się ku schodom, gdy nagle w sieni rozległ się głośny huk i drzwi z trzaskiem opadły, zamykając wejście do piwnicy.

Chłopcy zostali żywcem pogrzebani w palącym się domu.

W płonącym domu.

— Co to się stało? — spytał przestraszony Władek.

— Pewno albo sufit spadł na drzwi, albo ściana się przewróciła na nie, i zamknęły się same.

— To jak my się stąd wydostaniemy?

— Spróbujemy je podnieść, ale najprzód musimy przeszukać piwnicę i przekonać się,

czy mama i Bronia tu nie leżą. Masz zapałki?

— Nie — odpowiedział Władek.

— Szkoda, bo tu lampa wisi na ścianie, gdybyśmy mieli zapałki, zapalilibyśmy ją i przy świetle łatwiejby nam było przepatrzeć piwnicę.

— Poszukajmy. Na półce, tam, gdzie mama przechowuje konserwy, często kładła zapałki, może i teraz tam leżą.

— Nie mogę namacać — odpowiedział Staś po chwili szukania.

— Niema ani jednej — dodał Władek. — Co zrobimy?

— Musimy po omacku poszukiwać.

W tej chwili nad głowami ich rozległ się silny huk, i ze sklepienia posypał się proch.

— Coś się zawaliło —szepnął Władek.

— Pewnie ściana — odpowiedział Stach.

— Co będzie, jeśli się sufit piwnicy zapadnie? Spalimy się!

— E, myślę, że się nie zawali, bo jest murowany — odpowiedział Stach z udanym spokojem, aby dodać otuchy młodszemu bratu. — Nie martwmy się tem przedwcześnie, lepiej zabierzmy się do szukania.

— Szukajmy!

— Na klęczkach będzie nam lepiej, ty posuwaj się na prawo, ja będę macał na lewo.

Chłopcy rozpoczęli przeszukiwanie piwnicy. Posuwając się na kolanach, macali rękami podłogę i z boku siebie i przed sobą.

— Nie namacałeś kogo? — spytał po chwili Stach.

— Nie! — odrzekł Władek.

— Ja też nie.

Po chwili znów powtórzyła się taka sama rozmowa. W końcu chłopcy przeszukali całą podłogę, wymacali wszystkie kąty i zakątki, obmacali różne skrzynki, pudła i miejsce za niemi lub koło nich, ale nigdzie nikogo nie znaleźli. Widoczną było rzeczą, że żadna z poszukiwanych osób nie schowała się w piwnicy, ale to odkrycie wcale ich nie uspokoiło, owszem, tem więcej ich zaniepokoiło.

— Kiedy ich tu niema, to znaczy, że pozostały u góry i spaliły się — ozwał się po długiej chwili milczenia Staś, a w głosie drgał mu płacz.

— Boże, Boże! Dziadek nieżywy, matka i siostra spalone, a ojciec, Bóg jeden wie, gdzie się znajduje — narzekał Staś, a u-

siadłszy na jakiemś pudle, ukrył twarz w dłoniach i serdecznie się rozpłakał.

— I to wszystko przez tych Prusaków — powiedział Władek i, usiadłszy obok brata, też począł płakać.

I tak obaj chłopcy, na pół odrętwiali ze smutku i żalu, długo, długo pogrążeni w ciemności, siedzieli w piwnicy i płakali, a nad nimi huczał ogień, dopalając mienie ich rodziców, a z niem może i ciała najdroższych w świecie osób: matki i siostry.

Wreszcie pierwszy ocucił się z tego odrętwienia Staś i, westchnąwszy głęboko, szepnął:

— A może mama i Bronka uciekły i uratowały się?

— Toby i dziaduś z niemi był uciekł — odpowiedział młodszy brat i po chwili zapytał: — Czy myślisz, że go Niemcy zabili?

— Nie wiem, nie mieliśmy czasu obejrzyć ciała. Może go Prusacy zamordowali, albo zginął od tej kuli, co w dom uderzyła.

— Ja nie myślę, bo widziałeś przecie, że z tej strony mur stoi nienaruszony. — Musiał od czegoś innego zginąć.

— Chodźmy już stąd.

— Ale jak wyjdziemy?

— Spróbujmy podnieść drzwi, może nie przywalone.

— A jak w sieni ogień? Spalimy się!

— Zobaczymy!

Chłopcy zbliżyli się do wyjścia, weszli na schody i próbowali podnieść leżące drzwi, lecz ani ruszyć ich nie mogli.

— Przywalone! — szepnął Staś.

— Co zrobimy?

— Próbujmy jeszcze!

Bracia znów zaczęli podnosić drzwi, najprzód rękoma, potem plecami, lecz wszystkie ich wysiłki na nic się nie zdały, bo nawet poruszyć ich nie mogli, widocznie coś bardzo ciężkiego na nich leżało.

— Nie damy rady — ozwał się po chwili milczenia Staś, ocierając rękawem spoconą twarz. — Musimy szukać innego sposobu wydostania się z piwnicy.

— A może oknem uda nam się? — zobaczmy!

Bracia zbliżyli się do okna, które namacali, idąc wzdłuż ściany z wyciągniętą prawą ręką.

— Musimy sobie coś przystawić, bo okno za wysoko — powiedział Staś i przy pomo-

cy brata przywlókł jakąś skrzynię, ustawił na niej pudło i wszedł na nie.

— Szyby nie wybite, ale całe okno zawalone gruzami — powiedział, obmacawszy okno.

— Co zrobimy?

Staś nie odpowiedział zaraz, przez chwilę stał przed oknem i rozważał. Nagle zawołał:

— Wygrzebiemy dziurę w gruzach i wydostaniemy się! Żebyśmy tylko mieli motykę, albo inne jakie narzędzie, bo rękami będzie trudno. Czekaj! tam w kącie zwykle były motyki i łopaty.... Tak, muszą tam być, bo je sam przyniosłem z ogrodu, gdyśmy w nim nasze kosztowności zakopali.

— Są, są! — zawołał Władek, który w tej samej chwili z wyciągniętemi przed siebie rękami pośpiesznie zbliżył się do kąta i zmacawszy motykę, podszedł z nią ku oknu i podał bratu.

Staś zawzięcie począł kopać, i gruzy poczęły się sypać na podłogę piwnicy. Praca nie była łatwą, gdyż mały otwór okna nie pozwalał na rozmach i chłopiec tylko dziobać musiał i po trosze ściągał gruzy, przytem kurz dusił go i napełniał mu oczy. Nie

zważał jednak na to i gorliwie pracował dalej; zamknął oczy, wstrzymał oddech i wciąż dziobał, ściągając przez okno coraz więcej gruzu. Wreszcie zmęczył się.

— Pozwól mnie teraz dalej pracować — powiedział Władek, spostrzegłszy, że brat już zmęczony.

— Dobrze, masz motykę i kop z prawej strony, bo z lewej leży kawał muru i trudno go rozbić.

Władek wskoczył na wzniesienie i rozpoczął kopać. Gdy się zmęczył, miejsce jego zajął Staś. I tak na przemian obaj chłopcy prawie bez ustanku kopali sporo czasu, w końcu musieli przerwać robotę na dłuższą chwilę, gdyż, najprzód, obaj byli już bardzo zmęczeni, a następnie — w całej piwnicy było pełno kurzu i trudno im było oddychać.

Po półgodzinnym spoczynku, chłopcy znów rozpoczęli kopanie, nie szło ono już tak raźnie, jak z początku, bo dla ściągania gruzu musieli wejść we framugę okna i w skulonej postawie kopać, a przytem gruzy co trochę zasypywały im wygrzebaną dziurę. Mimo jednak zmęczenia, bracia nie zaprzestali pracy, i wreszcie, ku niezmier-

nej ich radości, cokolwiek z boku pokazała się maleńka dziurka, przez którą wpadł promyk czerwonego światła, odblask ognia.

— Władku, już! już, przekopaliśmy się! — zawołał Staś, który właśnie rozpoczął po bracie kopanie.

Po tym wykrzykniku, chłopiec pchnął kilka razy motyką w mały ten otworek, od czego powstała dość duża dziura, i czerwony odblask ognia wpadł przez okno do piwnicy i jaskrawo oświetlił skulonego we framudze Stasia.

Chłopcy byli wolni. Wydostanie się z piwnicy na powietrze było dziełem kilku chwil.

Spoceni, zakurzeni, wylazłszy z dziury, stanęli przed kupą gruzów i poczęli oddychać głęboko.

Noc już była, ale wszędzie widno było, bo czerwona łuna palącego się miasta rzucała odblask na ziemię i oświecała wszystko. Bracia odetchnąwszy, spojrzeli na dom, a raczej na pół rozwalone i rozpalone ściany, między któremi ogień dopalał resztek tego, co się przed kilku godzinami nazywało ich domem. Dach, sufity, wszystko to już się zapadło i spaliło, sterczał tylko do pół za-

walony i okopcony komin i ściany, których ogień nie zdołał przepalić. Spojrzawszy do sieni w to miejsce, gdzie były drzwi w podłodze do piwnicy, chłopcy ujrzeli na nich gruzy ze zwalonego komina i grubą belkę, która się właśnie dopalała. Teraz zrozumieli, dlaczego nie mogli podnieść drzwi.

Taki sam widok przedstawiały i sąsiednie domy, gdy zaś w dalszych miejscach płomienie wysoko jeszcze strzelały i wzbijały się kłęby dymu. Trzask, huk i szum pożaru nie ustawał, choć, tu i owdzie, ci, co nie uciekli z miasta, próbowali go gasić, wszelkie jednak wysiłki okazały się za małe na poskromienie rozszalałego żywiołu, płomienie w mgnieniu oka przerzucały się z jednego domu na drugi, z jednej strony ulicy na drugą, często przeskakując kilka domów i zapalając dalsze.

Postawszy przed dopalającym się domem, chłopcy w końcu odwrócili się i podeszli ku drzewu, pod którem złożyli ciało dziadka. Leżał on, jak go położyli, wyciągnity, długi i szytwny, z twarzą spokojną, zwróconą ku niebu. Staś i Władek padli na martwe piersi dziadka i zalali się łzami. Wtem Staś, mimowoli położywszy rękę na

lewej części piersi martwego ciała, uczuł pod nią cokolwiek jakby stwardniałe ubranie, była to krew, która przesiąkła ubranie i skrzepła. Chłopiec klęknął i bezwiednie, jakby machinalnie, począł rozpinać kamizelkę, potem koszulę na piersiach dziadka. Obnarzywszy pierś, spojrzał w to miejsce, gdzie namacał twarde ubranie i przy blasku łuny ujrzał szeroką ranę, taką, jaką zadaje pchnięcie bagnetu.

— Przebity! — szepnął, pokazując palcem ranę.

— Tak! — odpowiedział cicho Władek.

— Może i mamę z Bronią to samo spotkało?

— Pewnie.... O, Boże, Boże! — wyszeptał młodszy chłopiec i, ukrywszy twarz na piersi dziadka, cicho płakał.

Wtórował mu Staś, i tak obaj chłopcy, oświetleni jaskrawą łuną pożaru, długo w noc siedzieli w milczeniu przy martwem ciele dziadka, tylko łkanie podrzucało im piersi i głowy. Wreszcie zmęczenie owładnęło nimi, przytulili się do martwego ciała, położyli głowy na jego piersi i — zasnęli.

Przebudzeni.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy naglè Staś uczuł lekkie dotknięcie, otworzył oczy, przez chwilkę wpatrywał się w nachyloną nad sobą postać, jakby jej nie mógł rozpoznać, poczem nagle zerwał się na nogi z okrzykiem, w którym drgały łzy i radość.

— Tatuś! tatuś! — zawołał i rzucił się w objęcia ojcowskie.

— Gdzie? — zapytał przebudzony okrzykiem brata Władek, siadając na ziemi i przecierając oczy.

— Tutaj jestem, synku.

— O, tatuś doprawdy! Tatuś żyje!

I chłopiec rzucił się ku ojcu.

— Myśmy myśleli, że tatę Niemcy już zabili — mówili chłopcy, ściskając ojca.— Dziadusia bagnetem przebili....

— A gdzie matka? gdzie Bronia? — zapytał prędko ojciec, bacznie wpatrując się w twarze chłopców. — Gdzie one są? co się z niemi stało?

— Nie wiemy, bośmy tu nie byli.

— Nie byliście w domu?! — zdziwiony zapytał ojciec.

Tu chłopcy opowiedzieli w kilku słowach, jak, dla uspokojenia matki, wybrali się z

innymi chłopcami na poszukiwania uwięzionych i uprowadzonych mężczyzn. Ojciec z uwagą słuchał, a gdy już skończyli opowiadanie, przygarnął obu do piersi i uścisnął serdecznie.

— Wolałbym może, żebyście byli pozostali w domu przy matce, no, ale stało się.

— Kiedy mamusia bardzo płakała i martwiła się, nie wiedząc, co się z tatą dzieje, czy jeszcze żyje, czy nie — mówił Staś, dla usprawiedliwienia się przed ojcem z tego, że matkę i siostrę pozostawili same w domu. — Dziaduś obiecał pozostać z niemi.

— I pozostał — szepnął ojciec smutnym głosem i spojrzał na leżące u jego stóp zwłoki starca. — Niech mu Pan Bóg da wieczny odpoczynek.

Powiedziawszy te słowa, ukląkł obok ciała i począł się modlić, to samo uczynili obaj chłopcy.

Po długiej modlitwie, pierwszy z ziemi dźwignął się ojciec i rzekł:

— Najprzód musimy się przekonać, czy i one też taką śmiercią tu nie zginęły.

I ciężkim krokiem, ze zwieszoną głową, począł iść ku pogorzelisku, a za nim obaj synowie. Pogorzelisko było już prawie wy-

gasłe, choć tu i owdzie wydobywał się siwy dym z tlących, niestrawionych jeszcze przez ogień belek.

— Jeśli zginęły w domu, to może choć kilka kości znajdziemy — rzekł do chłopców, stanąwszy nad zgliszczami domu. — Musimy jednak zalać resztki ognia — dodał, patrząc na wijący się dym nad gruzami.

Znalazłszy przy studni wiaderko i dwa dzbanki, we trójkę poczęli nosić wodę i zalewać niedopałki. To samo czyniono na kilku sąsiednich pogorzeliskach, bo Niemcy już nie przeszkadzali.

Na gaszeniu i zalewaniu ognia zeszło im dużo czasu, nie mając bowiem odpowiednich i większych naczyń do noszenia wody, musieli ją donosić od studni w małych ilościach. W końcu jednak zalali kupę popiołu i gruzów i rozpoczęli je usuwać, szukając albo ciał, albo niedopalonych kości matki i siostry. Minęło już południe, a oni jeszcze grzebali na zgliszczach, nie natrafiwszy nawet na najmniejszy ślad zaginionych osób. Wreszcie wyczyścili całe miejsce, ale nie znaleźli tego, czego tak pilnie szukali.

— Spaliły się do szczętu — szepnął Staś, gdy już zaprzestali pracy.

Ojciec nie odpowiedział zaraz, tylko myślał przez chwilę, a potem dopiero ozwał się:

— Ja sądzę przeciwnie, Stasiu.

— Czy tatuś myśli, że się nie spaliły?

— Tak, bo inaczej musielibyśmy znaleźć choć kilka kości, a że nic nie znaleźliśmy, to mi właśnie daje nadzieję, że się wyratowały i żyją.

— Ale jakim sposobem, jeśli dziadka zabili? — spytał starszy chłopiec.

— Tego odgadnąć nie możemy. W każdym razie w ogniu nie zginęły, jestem prawie pewny, i dzięki Bogu za to.

Otucha wstąpiła w serca wszystkich. Przez chwilę ojciec i synowie stali zamyśleni i patrzyli na pogorzelisko. Władek, który od zmęczenia zaledwie trzymał się na nogach, usiadł na ziemi.

— Zmęczony jesteś, — spytał ojciec.

— Bardzo, tatusiu.

— Pewnie jeść wam się też chce, zupełnie zapomnieliśmy o posiłku — mówił ojciec, spoglądając na synów.

— Od wczoraj rana nic jeszcze nie jedliśmy — odpowiedział Staś.

— Ja tak samo, ale teraz możemy się posilić, a potem pochowamy dziadka i zajmiemy się poszukiwaniem matki i Broni, może coś o nich dowiemy się od sąsiadów. Myślę, że w piwnicy znajdziemy cokolwiek żywności.

Chłopcy skoczyli ku drzwiom, wiodącym do piwnicy, podnieśli je i za chwilę wynieśli z niej chleb, masło i ser. W czasie posiłku ojciec opowiadał o swoich przejściach. Z tego opowiadania chłopcy dowiedzieli się, że uprowadzonych mężczyzn Niemcy trzymali właśnie w owym domu, przy którym ich samych żołnierze złapali. Nie rozstrzelano nikogo, choć ustawicznie tem grożono i choć nawet groby już dla skazanych były wykopane.

— Myśmy widzieli te doły za płotem — powiedział Staś. — Czy to Niemcy je wykopali? — spytał.

— Nie, każdy z nas musiał sobie grób wykopać i co dzień wcześnie z rana wyprowadzano nas za ogród, kazano każdemu stanąć przy swoim dole i tak trzymano nas przez jakie pół godziny, grożąc, że lada

chwilę będziemy rozstrzeleni, ale, po upływie tego czasu, odprowadzano nas do izby i trzymano pod strażą. Dziś tak samo nam kazano stanąć nad dołami, a potem przyszedł oficer i powiedział, że wszyscy jesteśmy ułaskawieni i możemy swobodnie wrócić do swych rodzin.... Barbarzyńcy — zakończył pan Sławiński — wymordowali lub na cztery wiatry rozpędzili rodziny, zniszczyli nasze mienie i kazali nam wracać — do trupów i zgliszcz.... A powiedzieli, że przyszli nas oswobodzić z niewoli.!

Po tych słowach ojca zapadło milczenie, które trwało przez długi czas, wreszcie pan Sławiński, westchnął głęboko, potarł dłonią czoło i rzekł:

— Cierpienia i krzywdy nasze ofiarujmy Bogu, by nam posłużyły do odzyskania wolności miłej ojczyzny. Próżnymi lamentami i narzekaniami nic sobie nie poradzimy, trzeba nam zakasać rękawy i jąć się po męsku pracy nad odbudowaniem tego, co nam wrogowie zniszczyli. Chłopcy, nie traćmy ducha w tem wielkiem nieszczęściu! Miejmy wiarę w samych siebie, a Bóg da, że jakoś przetrwamy tę straszną zawieruchę i doczekamy się lepszych i pomyślniejszych

czasów. Trzeba nam tylko żelaznej woli, pracy i gotowości na wszelkie poświęcenia, a ku temu zachęcać nas powinna jedna tylko myśl, że wszystkie te cierpienia i ofiary są dla Polski, dla jej zmartwychwstania. Więc choć ból nas źre i trawi, podnieśmy w górę czoła i z otuchą w przyszłość bierzmy się do pracy, niech wróg widzi, że nas zetrzeć nie zdoła, bośmy twardzi, jak granit! Do pracy, dzieci!

— Tak, tatusiu, do pracy dla Polski!— zawołali obaj chłopcy, przygarniając się do ojca.

— Co mamy teraz robić? — zapytał Staś.

— Najprzód musimy zająć się pogrzebem dziadka, potem odszukaniem matki i Bronki. Pogrzebem zajmę się sam, wy zaś spróbujcie tymczasem, czy wam się nie uda zasięgnąć jakiej wiadomości o matce i Broni od sąsiadów, może kto z nich wie, co się tu działo w naszej nieobecności.

— Dobrze, tatusiu, będziemy próbowali.

— Idźcie, dzieci!

Chłopcy wybiegli na miasto, a ojciec zajął się pogrzebem dziadka.

Zbiegowie.

Chcąc się dowiedzieć, co się stało z Bronką i panią Sławińską, musimy się cofnąć do owego pamiętnego dnia, w którym Prusacy tak nielitościwie i po barbarzyńsku po raz pierwszy rozpoczęli bombardowanie miasta.

Po wyjściu Stasia z bratem i innymi chłopcami na poszukiwanie uwięzionych ludzi, pozostali domownicy z niecierpliwością oczekiwali wiadomości od chłopców. Mijały jednak godziny, a od nich nic nie było słychać.

— Może im się przydarzyło jakie nieszczęście, może i ich pochwycili Niemcy?— rzekła z trwogą pani Sławińska do swego ojca. — Tak się boję o Stasia i Władka!

— E, nie myślę, żeby im się co przydarzyło, chłopcy zwinni i roztropni, dadzą sobie radę. A że nie dali jeszcze żadnej wiadomości o sobie, to tylko dowód, iż dotąd niczego się nie dowiedzieli — uspakajał dziadek.

— A gdyby ich Niemcy złapali, czy rozstrzelaliby ich, dziadusiu? — spytała Bronka.

— Dlaczego mieliby ich rozstrzelać? Dzieci nikt nie zabija.

— Może inni tego nie robią, ale to są Prusacy, dziadusiu. Przecie oni katowali i mordowali niewinne polskie dzieci poznańskie, to też mogą zabić Stasia, Władka i innych chłopców. Ja się boję o nich!

— Bądź spokojna, nic im nie będzie. Czekajmy cierpliwie, a dadzą znać o sobie.

Czekano więc dalej, lecz z coraz większym niepokojem i niecierpliwością. Tymczasem minęło popołudnie, zbliżał się zachód słońca i wieczór, a o chłopcach ani słychu. Pani Sławińska i Bronka nie odchodziły od okna, przez które wyglądały na ulicę, wypatrując czy nie dojrzą biegnących do domu chłopców, dziadek też stawał się coraz więcej niespokojnym o nich, choć starał się tego nie pokazywać po sobie.

— Jestem pewna, że chłopców coś złego spotkało. Nie powinnam była im zezwolić na wyjście z domu — rzekła pani Sławińska po długim i ciężącem wszystkim, jak zmora, milczeniu.

— Cierpliwości, Maryniu — odpowiedział dziadek. — Jeszcze nie wieczór, oblecieć miasto i wypytywać, to zajmie dużo czasu.

— Dziadusiu, ja myślę tak samo, jak mama: ich coś złego musiało spotkać. Najpewniej załapali ich Niemcy i rozstrzelali. O, Boże, mój Boże, ani teraz tatusia, ani braci!....

Tu Bronka rozpłakała się i przytuliła do matki, jakby w obawie by i jej nie utracić.

Wtem straszny huk wstrząsnął powietrzem, ziemia zadrżała, dom wstrząsnął się, jakby od uderzenia potężnej pięści jakiegoś olbrzyma, szyby w oknach poczęły brzęczeć i w kawałkach rozsypywały się po podłodze, a huk wciąż się powtarzał jeden za drugim w miarowych odstępach. Na zbielałych twarzach i w oczach matki i córki odmalowało się straszne przerażenie.

— Co to jest? — szepnęła z trwogą starsza niewiasta.

— To z armat strzelają. Pewnie Rosyanie nadeszli, i wywiązała się bitwa, trzeba...

Lecz nie zdążył dokończyć zdania, bo w tej właśnie chwili cały dom zatrząsł się, i nagle w sąsiednim pokoju od podwórza pół ściany runęło na ziemię, a tumany kurzu zapełniły pokój i dom.

— To nie bitwa, to miasto bombardują

Prusacy! — krzyknął dziadek. — Uciekajcie do piwnicy, bo tu śmierć!

Matka i córka były jakby martwe i niezdolne się poruszyć, Bronka tylko jeszcze silniej przycisnęła się do matki.

— Do piwnicy, prędko! — powtórzył dziadek, a widząc, że go nie słuchają, pochwycił obie za ręce i pociągnął na środek pokoju. — Uciekajcie, na miłość boską, bo nas Prusacy bombardują. Nawet o tem nie uprzedzili.

— A Staś, Władek, co z nimi? — szepnęła blademi usty pani Sławińska.

— Nic im nie będzie, oni na polu, uchronią się, ale wy się skryjcie.

Wreszcie obie upamiętały się i płacząc, skierowały się do sieni, gdzie dziadek podniósł drzwi od piwnicy, do której one zaraz się schroniły.

— Siedźcie tam, dopóki wam nie dam znać, że niebezpieczeństwo minęło — powiedział dziadek, zamykając drzwi.

Matka i córka usiadły na jakiejś skrzynce i przytuliwszy się do siebie, płakały cicho, dziadek zaś wyszedł na podwórze i choć huk armatni nie ustawał i kule przela-

tywały mu nad głową, on nie zważał na nie i spokojnie oglądał wyrządzoną szkodę w domu.

— Barbarzyńcy — mruczał do siebie — bez ostrzeżenia ludzi bombardują miasto. By się zdobyć na taką rzecz, trzeba być rzeczywiście Prusakiem i Krzyżakiem.

Wtem nad głową jego przeleciał szrapnel i pękł z hukiem na ulicy. Dziadek bezwiednie schylił głowę.

— Trochę tu niebezpiecznie — mruknął do siebie — tam będzie bezpieczniej i na dom będę miał oko.

Tu wolnym krokiem zbliżył się do rozłożystej lipy i oparł się o jej gruby pień.

Stał tam dość długo, armaty zaś wciąż waliły, aż ziemia się trzęsła. Nagle strzelanina ustała.

— Albo już przestali na dobre, albo tylko odpoczywają — pomyślał sobie i zaczął wyczekiwać, skoro znów usłyszy huk pierwszego strzału.

Minął jednak kwadrans, potem drugi, nareszcie minęła godzina czasu, słońce zaszło i wieczór się robił, a strzelanina już się nie powtórzyła.

— Dzięki Bogu, zaprzestali na dobre — szepnął i spojrzał w stronę, skąd strzały dolatywały. — Ale kto wie, czy wnet znów nie rozpoczną piekielnej swej roboty?.... Na wszelki wypadek trzeba zabezpieczyć Marynkę i Bronię, bo tym krzyżackim szelmom nie można dowierzać — mruczał do siebie, medytując, w jaki sposób najlepiej będzie mógł zabezpieczyć życie drogich sobie osób. — Niema innej rady, tylko muszą uciekać z miasta — postanowił w myśli i podszedł do sieni.

— Czy już nie strzelają, dziadusiu? — spytała Bronka, gdy on otworzył drzwi do piwnicy.

— Od godziny prawie już nie strzelają, możecie wyjść — odpowiedział.

— A ojcu nic się nie stało? — spytała pani Sławińska.

— Cały jestem, dzięki Bogu.

— Chłopcy nie wrócili jeszcze? — pytała dalej matka z troską w głosie.

— Nie.

— Na pewno spotkało ich jakieś nieszczęście. Czemum ich puściła!....

— Daj pokój narzekaniom, trzeba teraz myśleć o własnem bezpieczeństwie. Chłop-

com, jestem pewien, nic złego się nie stało, ale wam każdej chwili może się stać, gdyż Prusakom nie można ufać. Wprawdzie zaprzestali bombardowania, ale kto zaręczy, że go za chwilę znów nie rozpoczną.

— Cóż my na to poradzimy.

— Nic, ale trzeba życie ratować.

— Co mi po życiu, gdy nie mam męża i dzieci — odpowiedziała pani Sławińska i rozpłakała się.

— Nie mów tego, ale zabierzcie najpotrzebniejsze rzeczy i obie uciekajcie z miasta, poki czas.

— Gdzież pójdziemy?

— Uciekajcie do Możygłowic. Nie będziecie same, bo dużo ludzi w tę stronę uciekło.

— To kilka mil drogi — powiedziała starsza niewiasta.

— Po woli zajdziecie.

— A dziaduś? — spytała Bronka.

— Ja w domu pozostanę.

— To i my się stąd nie ruszymy—stanowczym głosem rzekła pani Sławińska.

Dziadek przez chwilę milczał i namyślał się, poczem rzekł:

— Pozostać tu nie możecie, bo nie wiadomo, czy Prusacy znów nie zaczną bombardować miasta. Wprawdzie możecie się ukryć w piwnicy, ale i to nie bardzo bezpieczne miejsce, bo kula może przebić sklepienie i tam was dosięgnąć. Musicie więc opuścić miasto, przynajmniej na tak długo, dopóki nie będzie pewności, że bombardowanie już się nie powtórzy i że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, wtenczas wrócicie. Nie traćmy więc czasu, spakujcie, co najpotrzebniejszych rzeczy, i idziemy.

— Ojciec pójdzie z nami?

— Tak, odprowadzę was do Możygłowic i wrócę.

Pani Sławińska upierała się jeszcze, by pozostać w domu, lecz w końcu dała sobie wyperswadować, i niebawem, zabrawszy do małej walizki kilka najniezbędniejszych rzeczy, wszyscy troje opuścili mieszkanie i prędkim krokiem wyszli za miasto i skierowali się ku odległej wsi, gdzie dziadek spodziewał się znaleźć bezpieczne schronienie dla matki i córki. Przed odejściem z domu przybił kartkę na drzwiach do mieszkania, na której napisał, dokąd się udali, aby chłopcy, lub sam ojciec, gdyby przed

jego powrotem nadeszli, wiedzieli, gdzie szukać reszty rodziny.

Koło północy zbiegowie doszli do Możygłowic i zastali tam mnóstwo uciekinierów z Kalisza, między którymi najwięcej było niewiast i dzieci. Cała wieś była przepełniona niemi, i dziadkowi z wielkim trudem udało się wreszcie po długiem poszukiwaniu, znaleźć wolny kącik dla swoich w stodole u jednego z gospodrzy. Niemców ani we wsi, ani w pobliżu jej nie było, wszyscy jednak żyli w niepokoju wielkim, obawiając się, by i tu nie przybyli najeźdźcy i nie zrobili tego, co uczynili w Kaliszu. Na razie jednak dziadkowi wydało się to miejsce bezpieczniejszem, niż samo miasto, więc ulokowawszy córkę i wnuczkę, nie zwłócząc, sam wyruszył z powrotem do miasta.

Po godzinie drogi znalazł się przed domem. Spojrzał w okna, ale ciemno było we wnętrzu.

— Albo nie wrócili, albo śpią — rzekł sam do siebie i wszedł do sieni.

Zaświecił zapałkę, spojrzał na drzwi, kartka na nich wisiała tak, jak ją przyczepił.

— Nie wrócili — szepnął i wszedł do mieszkania.

Zapaliwszy lampę, obszedł wszystkie pokoje, lecz nikogo w nich nie zastał.

— Coś niezwykłego musiało się przydarzyć chłopcom — pomyślał sobie. — Trzeba zobaczyć, czy u matki Karolka nie mają jakich wiadomości.

Tu dziadek wyszedł na ulicę i skierował się ku drzwiom, gdzie mieszkali rodzice Karolka. Cały dom, jak i inne, pogrążony był w ciemności. Brama była zamknięta, dziadek począł się dobijać do niej i wołać. lecz nikt się nie ozwał Po kwadransie dobijania się, przyszedł do przekonania, że dom jest pusty, mieszkańcy widocznie albo uciekli z miasta, albo się też gdzieś pokryli, więc, wróciwszy do mieszkania, wziął krzesełko i usiadł przed bramą.

Noc się zbliżała ku końcowi, na wschodniej stronie niebo poczęło zielenieć, znak pierwszych brzasków dnia.

— Dnieje — szepnął do siebie dziadek, który wciąż siedział w zamyśleniu nie zmrużywszy nawet oka.

Niebo z każdą minutą coraz bardziej się rozwidniało, tu i owdzie na ulicy zjawiła

się jakaś postać ludzka, która, postawszy chwilę, wnet znikała w ciemnym otworze bramy. Naraz ciszę przerwał grzmot armatni.

— Znów bombardują — szepnął dziadek.

Jakoż nie mylił się, było to powtórne bombardowanie, które poczyniło wielkie zniszczenie. Dziadek dla bezpieczeństwa schronił się do piwnicy.

— Trzeba wyjrzeć, co się tam stało? — szepnął do siebie, spostrzegłszy, że strzały armatnie nie wstrząsają już ziemią.

Podniósł drzwi od piwnicy i stanął w sieni, zamierzając wyjść na ulicę. Zaledwie jednak postąpił jeden krok, gdy nagle rozległy się strzały karabinowe, i tuż za nim wpadło do sieni kilku pruskich żołnierzy:

— „Gield!” — krzyknął jeden z nich, ujrzawszy stojącego w sieni dziadka.

— Nie mam pieniędzy — odrzekł spokojnie starzec.

— Kłamiesz, ty polski psie! — zawołał pruski rabuś i pchnął bagnetem w pierś starca, który rozłożywszy ręce, z jękiem runął na podłogę.

Prusak kolbą uderzył go jeszcze kilka razy po głowie i wszyscy wpadli do miesz-

kania. Plądrowali w nim kilka minut, lecz nie znalazłszy ani pieniędzy, ani kosztowniejszych przedmiotów, kolbami porozbijali meble, lustra, obrazy i wszystko, co im stanęło na drodze i co mogło być zgruchotane ciężkiem i twardem drzewcem karabinu, poczem wylecieli znów na ulicę, by razem z towarzyszami siać zniszczenie i mord.

W ten sposób zginął dziadek chłopców, i wielu innych Kaliszan.

Łazarze.

— Cóż, chłopcy, macie jakie wiadomości o matce i o Broni? — zapytał ojciec, gdy obaj bracia popołudniu nad wieczorem znaleźli się na opustoszałem podwórku, na którem czekał ich ojciec.

— Żadnych wiadomości nie dostaliśmy — odpowiedział Staś. — Nikt nic nie wie, co się działo w naszym domu, bo jedni pouciekali, a inni siedzieli poukrywani i bali się wyjść na ulicę.

— Tylko tyle nam wiadomo, że mama i Bronia musiały uciec z miasta razem z innymi ludźmi, — ozwał się Władek.

— Da Bóg, znajdziemy je! Tylko pochowiemy dziadka, to zaraz zabierzemy się do poszukiwania.

— Kiedy będzie pogrzeb? — spytali chłopcy.

— Dziś jeszcze wieczorem. Setki osób zginęło, będzie mnóstwo pogrzebów.... Boże, Boże, tyle ofiar niewinnych! Oby tylko nie na próżno — westchnął ojciec i zakrył twarz rękami.

Wtem z ogrodu doleciał przeraźliwy krzyk niewieści. Wszyscy trzej obrócili się nagle i Staś zawołał:

— Mama! mama!

I puścił się w tę stronę, skąd ich krzyk doszedł. Istotnie przy fórtce od wejścia do ogrodu stała pani Sławińska z Bronią. Obie zanosiły się od płaczu.

Pan Sławiński poszedł ku nim, ujął żonę w objęcia, przygarnął Bronkę do siebie i tuląc je, począł uspakajać obie.

— No, nie płaczcie! Dziękujcie Bogu, że przynajmniej z życiem uszłyście.

Tu przyłączyli się do ojca i chłopcy i też, choć sami się dusili od łkania, poczęli mu pomagać w uspokojeniu przybyłych. Wreszcie, gdy obie jako tako uspokoiły się i zapanowały nad sobą, zaraz zapytały:

— Co się stało z ojcem? z dziadkiem?

— Bądź mężną, Maryniu! — szepnął ła-

godnym głosem pan Sławiński, patrząc w oczy żonie.

Ona przez chwilkę również milcząco wpatrywała się w niego, nagle zakryła sobie twarz i wybuchnęła rzewnym płaczem.

— Nie żyje! nie żyje! Prusacy go zamordowali!

— Tak, bo nie kto inny! świadczy o tem rana w piersi — odpowiedział pan Sławiński.

— Dziaduś, dziaduś.... nie.... żyje?! — krzyknęła Bronia, która teraz dopiero zrozumiała, co się z dziadusiem stało.

— Nie płacz Broniu, bo to już nic nie pomoże — perswadował Staś, dusząc w sobie łkanie, które go chwytało za krtań.

— Gdzie on leży? — spytała pani Sławińska.

— Ot, niedaleko pod drzewem — odpowiedział pan Sławiński i ująwszy żonę pod rękę, poprowadził ją kilka kroków dalej ku wielkiej lipie, pod którą na ziemi w zwykłej białej trumnie leżały zwłoki starca. Za rodzicami postępowały dzieci. Chłopcy otoczyli Bronię i starali się ją pocieszyć, lecz wysiłki były daremne. Bronia była ulubienicą, pieszczotką, dziadka, więc jego

śmierć przejęła ją takim żalem i bólem, iż wprost zanosiła się od płaczu.

Doszedłszy do trumny, matka i córka padły na nią, chłopcy z ojcem klękli około i w ten sposób cała rodzina pozostała długą, długą chwilę.

Wreszcie, gdy już pierwszy wybuch żalu minął, pan Sławiński odprowadził żonę i córkę od trumny, chłopcy wyszukali stare jakieś pudła i położywszy je na ziemi, prosili, by one na nich usiadły. Żądanie to obie spełniły machinalnie. Bronka siadłszy przy matce, położyła swą płową główkę na jej kolanach i cicho szlochała.

— Nas ocalił, a sam zginął — szeptała przez łzy pani Sławińska, spoglądając na martwe ciało ojca.

— Gdzie byłyście? — spytał pan Sławiński. chcąc odwrócić uwagę żony na co innego.

Tu przerywanym od płaczu głosem pani Sławińska opowiedziała wszystko, co się zdarzyło i, kończąc, mówiła:

— Dłużej już w Możygłowicach nie mogłam pozostać, szczególniej, gdy uciekający przynieśli wiadomości o ponownem bom--bardowaniu miasta, o strzelaniu do ludzi na

ulicach i do mieszkań przez okna, jak również i o pożarze miasta. Gdym się o tem wszystkiem dowiedziała, strach mnie zdjął o was, o ojca. Niepewność, co się z wami dzieje, cięższą mi się stała, niż śmierć, i dla tego dziś wybrałyśmy się z Bronią do miasta, by wreszcie, albo dowiedzieć się, co się tu stało i co słychać z wami, albo.... zginąć razem z innymi. O. Boże, Boże, ileż już nieszczęść nas spotkało w tak krótkim czasie. Niedawno pełno tu było wesołego gwaru, śpiewu i zabawy dziatwy, pełno szczęścia, a dziś.... gruzy, popiół, trupy i zniszczenie.... Siedzimy, jak Łazarze na pogorzelisku naszego szczęścia....

— Uspokój się Maryniu! Z tych popiołów i gruzów, którymi odwieczny nasz wróg, Krzyżak, zasieje ziemię naszą, powstanie wolna i niepodległa Polska. Przez te dymy pożarów świtać nam zaczyna jutrzenka wyzwolenia.... Dla wolnej Polski nie poskąpimy żadnych ofiar, a to, co nas dotąd spotkało, to tylko kropelka tego cierpienia, które znieść będziemy musieli wszyscy. Ale odwagi i wytrwałości! Małoduszni giną, wytrwali zwyciężają.

— Wierzę! — szepnęła pani Sławińska.

— I my też, mamusiu! — dodały dzieci i przytuliły się do niej.

Ona zaś objęła je rękoma, przycisnęła do serca i rzekła:

— Wierzcie! wierzcie zawsze, choćby z tej wiary waszej nietylko wrogowie, ale cały świat szydził i powiadał wam, że nadzieje wasze nigdy się nie ziszczą — wy wierzcie, zawsze wierzcie i wytrwale własnemi siłami do ziszczenia tych nadziei dążcie.

— Będziemy, mamo!

KONIEC.

m